PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY i LITERACKI, ILLUSTROWANY

Rocznik XIV.

Kwartalnik II.

(Kwiecień ▫ Maj ▫ Czerwiec).

No. 14—26.

1910

POZNAŃ.

Nakładem i Drukiem »Pracy« Drukarni Nakładowej

G. m. b. H.

Ul. Rycerska 38.



Nr. 14. Poznań, dnia 3 kwietnia 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Kandydatura p. Sosińskiego zwyciężyła.

Do wyborców Polaków okręgu poznańskiego.

Dotychczasowy poseł do parlamentu niemieckiego z okręgu poznańskiego p. Bernard Chrzanowski złożył swój mandat i skutkiem tego odbędą się wybory uzupełniające nowego posła dnia 8-go kwietnia r. b.

Na mocy § 9 regulaminu wyborczego zamianował niżej podpisany komitet wraz z delegatami powiatowymi okręgu poznańskiego kandydatem poselskim

p. Wojciecha Sosińskiego z Bochum.

Podając tę uchwałę do wiadomości wyborców okręgu poznańskiego, wzywamy usilnie nasze władze wyborcze, żeby agitacyą wyborczą gorliwie się zajęły, zaś wyborców prosimy gorąco, żeby władzom wyborczym w czynnościach agitacyjnych chętnie pomagali, a w dniu **8-ym kwietnia** wszyscy bez wyjątku głosy swe oddali na kandydata naszego

p. Wojciecha Sosińskiego.

Poznań, dnia 29-go marca 1910 r.

Prowincyonalny Komitet Wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Stef. Cegielski, prezes. **Ks. Piotr Wawrzyniak**, wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. **Michał Więckowski**, skarbnik.
Julian Brzeski. Władysław Grabski.
Dr. Kubacki. Ks. Mojżykiewicz.
Jan Żółtowski.

* * *

Podawszy odezwę Prowincyonalnego Komitetu Wyborczego obwieszczającą kandydaturę p. Wojciecha Sosińskiego pragniemy także z naszej strony zachęcić wyborców, aby wszyscy jak jeden mąż dnia 8 kwietnia pospieszyli na wybory i zgodnie oddali swe głosy na wyznaczonego przez naszą najwyższą władzę wyborczą kandydata.

Wiemy dobrze, że uchwała ta nie wszystkich zadowoli. Ci, którym nie tyle chodziło o osobę przyszłego posła, ile o zasadę tj., aby nareszcie poseł z kół robotniczych zasiadł w parlamencie, nie będą naszym władzom wyborczym robić kwestyi z powodu ich ostatecznej uchwały. Inaczej ma się rzecz z tymi licznymi wyborcami, którzy zaangażowali się energicznie za specyalną kandydaturą p. St. Nowickiego. Z ich strony i ze strony pism niektórych należy oczekiwać najostrzejszej krytyki ostatecznej decyzyi naszej najwyższej władzy wyborczej, należy się przygotować na objawy wielkiego rozgoryczenia i na ostre rekryminacye.

Co do nas, to powiedzieliśmy już, że każdą z tych kandydatur uważamy za dobrą, a jeżeli oświadczyliśmy się za takąż pana Nowickiego, uczyniliśmy to dla tego, ponieważ nie przewidywaliśmy, aby jej ze strony pana Sosińskiego mogła wyrosnąć konkurencya. Popieraliśmy kandydaturę p. Nowickiego przeciw kandydaturze p. mec. Trąmpczyńskiego. Gdybyśmy byli mogli przewidzieć, że dwie kandydatury robotnicze walczyć będą o palmę pierwszeństwa, bylibyśmy zachowali absolutną neutralność. Nie znamy bowiem tak dalece odnośnych kandydatów, abyśmy mogli sumiennie powiedzieć, który z nich odpowiedniejszy.

Bądź jak bądź, obecnie zapadła uchwała na korzyść p. Sosińskiego, przeto kto Polak, komu droga zasada solidarności narodowej, kto nie chce, aby z niezgody w naszym obozie miał korzystać wróg zewnętrzny — ten pospieszy na dniu 8 kwietnia do urny wyborczej i odda głos swój na legalnego kandydata, którym jest p. Wojciech Sosiński.

Póki sprawa była nierozstrzygnięta mogliśmy walczyć ze sobą, a nawet grozić secesyą. Obecnie klamka zapadła. Co mamy sobie jeszcze do powiedzenia na temat kandydatur, to powiedzmy sobie po wyborach. Zostawmy na później skargi i żale. Teraz patrzmy, aby kandydat nasz najświetniejsze uzyskał zwycięstwo, gdyż wymaga tego nasz honor narodowy i honor stanu robotniczego, którego p. Wojciech Sosiński szczególnym ma być orędownikiem.

Jesteśmy przekonani, że wyborcy nasi spełnią należycie swój obowiązek, że nikt się nie sprzeniewierzy tej zasadzie, która tak niezmierne ma dla narodów podbitych znaczenie, tj. karności i posłuszeństwu, jakie wszyscy bez wyjątku winniśmy tym władzom, które sami sobie ustanawiamy.

Po wyborach dość będzie czasu na roztrząsanie sumień, na porachunki wszelakiego rodzaju. Obecnie chodzi o osiągnięcie najświetniejszego zwycięstwa, aby wykazać naszą moc przed obcymi, aby swoich pouczyć, że lud rzeczywiście pragnął posła robotnika, sam ze siebie, a nie wskutek agitacyi gazet ludowych.



Nowe stronnictwa.

Z chwilą gdy pod patronatem tutajszej narodowej demokracyi powstało Towarzystwo Demokratyczne, powiedziano na tem miejscu, że logicznem tego faktu następstwem będzie dalsze różniczkowanie się polityczne społeczeństwa.

Nie potrzeba było szczególniejszego daru jasnowidzenia, by ten skutek przewidzieć.

Otóż, jak doniosły gazety, czynią się przygotowania, by powołać do życia dwa nowe stronnictwa polityczne: stronnictwo realistów i stronnictwo mieszczańsko-rzemieślnicze.

Co do nas, to wiadomo czytelnikom naszym, że bynajmniej nie jesteśmy *zasadniczymi* przeciwnikami stronnictw politycznych. Wolelibyśmy coprawda, aby ich wogóle nie było. Uważając się bowiem w stosunku do rządu za stronę, trudno nam upatrywać zysk polityczny w tem, że ta strona dzieli się wewnątrz siebie na poszczególne grupy polityczne, które z natury rzeczy muszą się wzajemnie zwalczać, co łatwo może naszą pozycyę wobec zewnętrznego przeciwnika osłabić. Skoro jednak narodowa demokracya się zorganizowała, nie pozostaje tym żywiołom, które wyłącznych rządów tej partyi nie chcą, nic innego, jak także ze swej strony zszeregować się w odrębnej organizacyi politycznej. Wytworzy się w ten sposób pewna przeciwwaga przeciw jednostronnym dążeniom narodowych demokratów, którzy w Towarzystwie Demokratycznem przemożne wywierają wpływy.

Ideałem naszym nie są partye polityczne, a więc podział, lecz jaknajściślejsze zespolenie społeczeństwa. Tego zespolenia absolutnego nie było, nawet wonczas, gdy partye nie istniały. Od lat mieliśmy silne prądy polityczne, które przy każdej ważniejszej sposobności się manifestowały. Jednolitości myśli politycznej społeczeństwa nie było i być nie mogło. Brak zorganizowanych partyj wszakże nie dozwalał zbyt jaskrawo uwydatniać się tym rozbieżnościom. Inaczej dziś. Stempel partyjny ma to do siebie, że faktycznie dzieli ludzi, segreguje ich, niweluje ich poglądy w obrębie danego stronnictwa. Dziś różnice polityczne uwydatniają się coraz to jaśniej i zaczynają dzielić ludzi nawet pod względem towarzyskim niestety. Zatem z pewną troską spoglądamy na ten proces, który się obecnie w społeczeństwie naszem dokonuje.

Jednakże wierzymy, że bez porównania potężniejsze od tego, co nas dzieli, jest to, co nas wszystkich łączy. Toż zasada solidarności narodowej powszechnie za nietykalną jest uznana. Ufamy przeto, że ideał możliwie najściślejszego zespolenia społeczeństwa da się także urzeczywistnić za pomocą partyj politycznych. Partye nie powinny być celem, lecz środkiem do celu wiodącym. Celem zaś może być jedynie dobro narodu, które nie może się opierać na preponderancyi pewnej partyi, lecz na sharmonizowanej woli całego społeczeństwa. Sądzimy więc, że te krystalizacye polityczne, na których powolne kształtowanie się patrzymy obecnie, z biegiem czasu wydzielą z siebie owo centralne ciało polityczne, o którem od dwóch przeszło lat jest mowa w łamach naszego pisma; że nie będą fermentem powodującym waśń i zamęt, lecz czynnikiem twórczym, który zbuduje moralny rząd społeczeństwa.

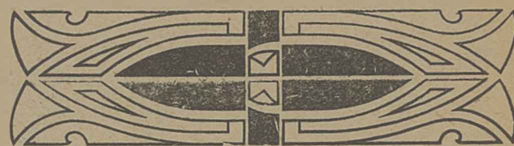
Jeżeli tą drogą skieruje się rozwój spraw, natenczas należy obecne różniczkowanie się partyjne społeczeństwa uważać za objaw pożądany. Nieszczęściem prawdziwem byłoby tylko wtedy, gdyby miało być formowaniem szyków w celach wyłącznie partyjnych. Wolne społeczeństwa mogą ostatecznie walczyć o panowanie wyłączne takiego lub owakiego światopoglądu. Mają bowiem rządy, które odgrywają rolę wyrównawczej sprawiedliwości. My na to pozwolić sobie nie możemy. Nie ekskluzywność partyjna bowiem, lecz solidarność powszechna nas zbawi. A nie zdołamy tej solidarności wytworzyć i utrzymać, jeżeli, *podzieliwszy się na partye,* nie stworzymy instytucyi, której orzeczenia będą dla wszystkich partyj obowiązujące.

Widzimy więc, że z rosnącym partyjnym podziałem społeczeństwa rośnie także aktualność sprawy Rady narodowej. Jasna, że instytucya taka nie może (i nie powinna nawet) powstać z dziś na jutro. Nie ma to być bowiem twór sztucznie i na prędce sklecony, lecz władza organicznie z łona społecznego wyrosła. Na to potrzeba czasu i pracy, a przedewszystkiem zrozumienia jej potrzeby.

Życzyćby należało, żeby zrozumienie to szerzyło się wśród społeczeństwa.

To tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. . .

Adam Mickiewicz.



Na widowni.

Wakacye wielkanocne spowodowały w polityce krótką tylko ciszę; nie miał ich wcale kanclerz Rzeszy niemieckiej p. Bethmann Hollweg, który przed świętami pojechał do Włoch, aby tam przedstawić się królowi włoskiemu i zapoznać się z kolegą swoim, włoskim ministrem spraw zagranicznych.

Pan Bethmann-Hollweg należy do tych polityków, którzy stanowczo nie mają szczęścia, bo trzeba mieć szczególne nieszczęście, aby całe miesiące odkładać wizytę do Włoch i wybrać się w tym właśnie czasie, kiedy gabinet włoski musiał podać się do dymisyi.

Prasa wszechniemiecka upatruje w dymisyi gabinetu sztuczkę polityków włoskich i powiada, że umyślnie urządzono maskaradę z dymisyą, aby kanclerz niemiecki nie miał z kim radzić.

Wypadek jest istotnie tak rzadki i dziwny, że go trudno zrozumieć, wszakże Niemcy niczego nie naprawią, podsuwając Włochom zamiar intrygowania: przeciwnie artykułami zjadliwemi o „włoskiej chytrości i kłamstwie“ uprzykrzą tylko pobyt we Włoszech kanclerzowi.

W świecie dyplomatycznym podróż Bethmanna Hollwega do Włoch w tym czasie, kiedy nie miał z kim układać się, pozostanie rzeczą dziwną i śmieszną i w historyi dyplomacyi z lat ostatnich bezprzykładną. Kto wie, czy też w rzeczywistości nie urządzono się we Włoszech w sposób taki, aby niczem nie zobowiązywać się wobec Niemiec.

Stosunek Włoch do Niemiec psuje się już od dawna, najgruntowniej wszakże został on zepsuty od chwili aneksyi Bośnii i Hercegowiny przez Austryę, którą Niemcy tak skwapliwie pochwaliły. Aneksya krajów bałkańskich przez Austryę, dążenia Austryi do opanowania drugiego brzegu Adryatyku, tak oburzyły Włochów, że dziś już o przyjaźni dla Niemiec nie może być mowy. Podobno najgorliwszym zwolennikiem trójprzymierza miał być zawsze król włoski, bojący się republiki francuskiej.

Król włoski sądził zawsze, że przyjaźń z Francyą może obudzić energię Włochów republikańskich i republikanie gotowi go wypędzić z kraju, dlatego szukał pomocy w Niemczech i Austryi.

Wszakże długo dziać się tak nie mogło, król włoski nie mógł swoich interesów dynastycznych stawiać wyżej ponad interesy narodu i w końcu ustąpił

tym, którzy pragnęli zbliżenia się do Francyi; formalnie nastąpiło to podczas zjazdu z carem, który mu zapewne wyperswadował obawy co do agitacyi republikańskiej.

Dziś rosyjski minister Izwolski głosi już jawnie, że za aneksyę Bośnii i Hercegowiny odpłacił się hr. Aerenthalowi oderwaniem Włoch od trójprzymierza, utworzeniem przymierza poczwórnego Rosyi, Anglii, Włoch i Francyi, oraz utworzeniem sojuszu bałkańskiego turecko-serbsko-czarnogórsko - bułgarskiego

Izwolski sądzi, że Niemcy są osaczone należycie i że nie zechcą one myśleć o dalszych zaborach.

W Anglii ciągle się ważą losy parlamentu i gabinetu i w chwili obecnej nie ma jeszcze pewności, czy nie nastąpią nowe wybory.

Dla Finlandyi nastąpiły smutne czasy, bo oto nadeszła wiadomość, że car podpisał manifest, w którym powiedziano, jakie sprawy należą do sejmu finlandzkiego i jakie do Dumy. Po manifeście carskim sejm finlandzki utracił znaczenie dawniejsze i stał się instytucyą trzeciorzędną. O Finlandyi decydować będzie car i duma.



Klasztor OO. Reformatów w Poznaniu.

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

(Dokończenie).

„Żadnej wygody w kościele chorzy nie mają, bo, chociaż pięć pieców postawili dla nich, jednakże bardzo się dymi i tak w dymie leżą. Starałem się jak najusilniej, aby można kościół uwolnić, ale nie mogłem tego wyrobić. Z kościoła, gdy palą w piecach, szkaradny dym z fetorem się do naszych cel ciśnie przez wielki ołtarz, że zaledwo można wytrzymać, Bóg nas jednak cudownie utrzymuje przy zdrowiu. Musimy zawsze prawie okna naszych pomieszkań otwierać choć w najtęższym mrozie“.

„Przekładałem rządcom, aby nam kościół napowrót oddali. Już to sam generał francuski Oudinot przyświadczył. Słychać, że mają gdzieindziej chorych z kościoła przenieść. Dałby to Bóg, aby jak najprędzej, bo już dalej nie będzie można egzystować, gdyż my tu tylko z kościoła i pracą w nim żyliśmy. O kweście ani można teraz pomyśleć, gdyż lud bardzo zniszczony, ledwie co do gęby ma włożyć, i nie dziw, bo kilkakroćstotysięcy wojska tu maszerowało i ludzie musieli im dać jeść i dla koni futeraż wybrano. Wszędzie nic tylko narzekania i biedę słychać, a jakże my ubodzy od nich mamy co dostać, gdy już sami nic nie mają. Boże zachowaj od głodu i powietrza!“

Zająwszy kościół i klasztor na lazaret, powybijali Francuzi wszystkie ściany, przedzielając cele, i sale dla padkowi, zreparowano, ogród mniejszy na dole, zarosły i zaplugawiony, także oczyszczono i obsadzono. Studnią na podwórzu, niegdyś przez Prusaków zasypaną, rząd Księstwa Warszawskiego kazał na nowo na blisko 30 łokci wykopać i ocembrować.

Tak tedy, po tylu przejściach, doczekał się O. Benedykt Sydry uwieńczenia swych zabiegów. Wkrótce potem, obrany ministrem prowincyonalnym, opuścił Poznań. Ale przeznaczonem mu było spocząć w miejscu, gdzie tyle przecierpiał. W sprawach bowiem prowincyi przybywszy z klasztoru rawickiego dnia 28 kwietnia 1810 r. do Poznania, dostał nerwowej febry, na którą dnia 7 maja t. r. w 48 roku życia umarł. Pochowany został w kościele reformackim, w wspólnym grobie zakonników.



Pan Wojciech Sosiński z Bochum,
legalny kandydat poselski do parlamentu niemieckiego na obwód poznański (siedzi). Obok niego stoją: pan Korpus po prawej, i pan Jankowiak po lewej stronie, obaj z Bochum.
(Patrz artykuł wstępny).

chorych urządzili, zostawiwszy na górze piece do palenia, które rząd pruski powystawiać kazał, studzienkę zaś przy stajni zamienili na pompę i od niej rynnami wodę spuszczali do kąpielni, którą w klasztorze przy zakrystyi, gdzie dawniej był skarbiec klasztorny, urządzili. Lekarze francuscy orzekli, że woda w tej pompie jest mineralna, zamknęli ją na kłódkę i do niej przystępu bronili. Opuszczając Poznań, zabrali swoje sprzęty i korbę żelazną od tej pompy.

Nareszcie w r. 1809 rząd Księstwa Warszawskiego oddał OO. Reformatom kościół, cmentarz i ogrody, w klasztorze zaś był jeszcze czas niejakiś lazaret polskich żołnierzy.

Z ofiar dobrodziejów wyreparowano znowu wewnątrz kościół i cały wybielono, cmentarz, na którym tylko doły i gruzy były, oczyszczono, zregulowano i topolami obsadzono, także figurę na cmentarzu, chylącą się ku u-

Był to mąż zdolny, w filozofii i teologii biegły, kaznodzieja przyjemny, przez zakonników i świeckich lubiany i szanowany. W zakonie najwyższe piastował urzędy.

Za jego gwardyaństwa przeszli na katolicyzm w kościele reformackim 18 letnia Maryanna Wagnerin z przyzwoleniem męża Franciszka Zeterfelda, żołnierza pruskiego, 23 letnia Rozalia Schantow z Nakła i Jan Wekiert, piekarz ze Śródki, kilka osób niższego stanu przyjęło tercyarstwo, ochrzcony został (8 marca 1805 r.) Robert, syn Józefa Jeziorowskiego i Józefy z Lan-

gnerów, wreszcie odbyło się kilka ślubów i to Józefa Hessa, mieszczanina poznańskiego, z wdową Elżbietą (1800), Pawła Danermana z Maryą Anną Weldel-Sztenówną (1804) i Michała Florkowskiego, posesora Pogorzelicy, z Maryanną Jeżewską ze Śródki (1809).

Po Benedykcie Sydrym objął zarząd kościoła 1809 r. były gwardyan *Nepomucem Sadowski*, za którego zostali katolikami 15 letni Jan Redlbach, który odtąd nazwał się Janem Mędelskim, i Godfryd Schultz ze Wschowy, a umarł w klasztorze 22 marca 1811 r. *Jakób Zatorski*, definitor prowincyi, który po kolei był kaznodzieją, sekretarzem prowincyi, skryptorem archiwum i gwardyanem.

Po przejściu Poznania pod rządy pruskie OO. Reformaci przeznaczeni zostali na wymarcie. W księdze klasztornej zapisano jeszcze dnia 11 kwietnia 1814 r. śmierć braciszka Kornelego Andryszewskiego, a jako przyjętych do tercyarzy pomiędzy innymi Helenę Kmitównę z klasztoru PP. Katarzynek poznańskich (1812), Agatę Kilińską z konwentu Klarysek poznańskich (1815), Katarzynę Dzierżanowską, także z konwentu Klarysek poznańskich (1817), Franciszkę Budziszewską i Wincentego Goślinowskiego z żoną Franciszką (1817), a jako ostatnią w r. 1825 Walentę Kawską, mieszczkę poznańską.

Zresztą o losach klasztoru w księdze nie zachodzi już żadna wzmianka. Dziś w dawnym klasztorze zakład głuchoniemych.

Koniec.



Zamknięcie szkoły p. Szczerbińskiej w Śremie.

Szanowną Redakcyę proszę o łaskawe umieszczenie w piśmie swojem następującego oświadczenia:

Podaję do wiadomości, że szkoła moja praktyczna, którą przed 15 laty założyłam i pod nazwą „Zakładu pracy domowej“ w Śremie prowadziłam. od 1-go kwietnia r. b. istnieć przestała.

Regencya bowiem uważa dom mój, w którym się szkoła mieści, za nieodpowiedni na ten cel. Ponieważ budować nowego zakładu, z racyi, że ze śmiercią moją konsens się kończy, mi nie pozwolono, a przeróbki starego domu nie byłyby nigdy podług wymagań regencyi do przeprowadzenia, że mi też zredukowano liczbę uczennic do połowy pod pozorem, że dom mały — nie pozostaje mi nic innego, jak szkołę zamknąć.

Spełniam to z ciężkiem sercem, bo skromną moją pracę umiłowałam i z



Pani Felicyana Szczerbińska.

żalem się z nią rozstaję. Proszę też serdecznie rodziców, którzy szkołę moją zaufaniem darzyli i córki swoje przysyłali, o zwrócenie się do Zakopanego, gdzie pod względem praktycznym, umysłowym i moralnym dużo skorzystają.

Felicyana Szczerbińska.



Z TEATRU.

Gościnny występ p. Floriani.

W pierwsze święto wielkanocne dawano w teatrze naszym „Halkę“ Moniuszki. Ponieważ dotychczasowa primadonna opery naszej p. Hendrychówna opuszcza Poznań (także p. Ludwig, reżyser opery, wziął dymisyę) przeto zaprosiła dyrekcya p. Floriani na kilka gościnnych występów. Pierwszy odbył się właśnie w zeszłą niedzielę. Licznie zebrana publiczność witała owacyjnie znakomitą artystkę, która ubiegłego sezonu występami swoimi zaskarbiła sobie powszechne sympatye i uznanie. Niedzielny występ świadczył najdodatniej o pierwszorzędnych kwalifikacyach artystycznych pani Floriani, o których tylekroć na tem miejscu przy rozlicznych sposobnościach była mowa. Nie chcąc się powtarzać, zadowolimy się tą krótką wzmianką, pragniemy wszakże skorzystać ze sposobności, by przypomnieć, że p. Floriani od przeszło pół roku otworzyła w mieście naszem szkołę śpiewu artystycznego. Bliższe dane w tym względzie znajdzie szan. czytelnik w ogłoszeniu zamieszczonem w dziale inseratowym, na co zwracamy uwagę.

W sprawie budowy kościoła dla Polaków w Budapeszcie odbieramy następującą odezwę:

Za staraniem Metropolity archidyecezyi lwowskiej, Jego Ekscellencyi ks. Arcybiskupa dra Józefa Bilczewskiego rząd węgierski zezwolił na utworzenie stacyi misyonarskiej dla Polaków zamieszkałych w Budapeszcie, poruczając kierownictwo tejże stacyi ks. Wincentemu Dankowi z archidyecezyi lwowskiej.

Brak nam jednak kościoła, któryby służył wyłącznie potrzebom rodaków.

Z uwagi, że kościół polski w Budapeszcie niemal jedynem byłby miejscem, które łącząc i skupiając liczne masy ludu polskiego mógłby je uchronić od zapomnienia mowy ojczystej i od wynarodowienia, — budowę własnego kościoła — choćby w skromnych rozmiarach — należy uważać za rzecz konieczną.

Gdy jednak skład Peszteńskiej „Polonii“ stanowi przeważnie uboga ludność robotnicza w poważnej liczbie, jak podają około 15,000 dusz — przeto podpisany komitet śmie prosić o łaskawą ofiarę, wzgl. zbieranie choćby najdrobniejszych składek na rzecz budowy kościoła dla Polaków w Budapeszcie, oraz o zachętę ku temu — znajomych osób, duchownych lub świeckich. W szczególności przy urządzaniu zabaw na cel dobroczynnny prosimy nie zapominać o zbożnem naszem dziele.

Ofiary uprasza się nadsyłać wprost na ręce wymienionego poniżej skarbnika. —

Za komitet budowy kościoła polskiego w Budapeszcie:

Marya Alojza z Przeździeckich hr. Szapary, IV., Realtanoda-utcza 8.
Zygmunt Czartoryski (skarbnik, IV., Vaczi-utcza 12.
Ks. Wincenty Danek, X., Kelemen-utcza 32.
Stefan Dyndowicz (sekretarz), VII., Dohany-utcza 86.

Jego Świątobliwość, Ojciec św. Pius X., udzielił pismem, własną ręką skreślonem Apostolskiego Błogosławieństwa składającym ofiary na kościół polski w Budapeszcie.

Komitet zostaje pod patronatem J. E. ks. Arcybiskupa Bilczewskiego, Metropolity lwowskiego. — Prócz wymienionych powyżej osób wstąpiła do komitetu Jej Królewska Wysokość, ks. Karolina Bourbon, hr. Andrzejowa Zamoyska z Lubowli — na Spiżu.

Wiadomości.

— **Za liczne i serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja,“ otrzymane z blizka i z daleka, składamy wszystkim Czytelnikom i Czytelniczkom staropolskie: „Bóg zapłać!**

— **Składki.** Na wieczorze u pp. Tad. Ruczyńskich w Dziećmierowie zebrano na kanonizacyę królowej Jadwigi **10,50 mk.**, na fundusz **czytelników „Pracy“** dla Tow. Czytelni Ludowych **16,10 mk.**

Sumy te wręczono komu należy.

Szanownych czytelników upraszamy o przesyłanie chociażby najmniejszych datków na **fundusz czytelników „Pracy“** dla Tow. Czyt. Lud.“

— **Walne Zebranie Banku Włościańskiego w Poznaniu** odbyło się w środę, dn. 16-go z. m. w lokalach bankowych w obecności mniejwięcej 30 akcyonaryuszy. Po zagajeniu wezwał prezes Rady Nadzorczej p. hr. Mieczysław Kwilecki z Oporowa, który przewodniczył Walnemu Zebraniu, obecnych do powstania z miejsc celem uczczenia pamięci Dyrektora Banku ś. p. Sylwestra Buskiego, który przez przeszło lat 30 kierował instytucyą. Poczem zdał sprawozdanie z czynności Banku za rok 1909. Dyrektor Dr. Kazimierz Hącia, podnosząc, że zyski osiągnięte w tym roku są znaczne i pozwalają przy najzupełniej dostatecznem udotowaniu funduszów rezerwowych rozdzielenie 10 proc. dywidendy. Dalej zwrócił na to uwagę, że Rada Nadzorcza uchwaliła zredukować znacznie portfel własnych efektów, ażeby gotówkę osiągniętą zużyć na udzielenie kredytu w kraju, podnosząc, że zakres interesentów w ostatnim czasie znacznie się powiększył.

W dyskusyi zabrali głos pp. radzca Dr. Grossmann, St. Wegner, Dr. Dziembowski i inni, wykazując, że Bank tylko pewną część swoich kapitałów lokować winien w efektach. Po udzieleniu pokwitowania Zarządowi i Radzie Nadzorczej przyjęto następujący podział zysków, wynoszących mrk. 97806.20.

do funduszu rezerwowego	mk. 9806.20
na dywidendę precypowaną	mk. 24000.—
na tantyemę	mk. 18000.—
na fundusz emerytalny	mk. 10000.—
na superdywidendę	mk. 36000.—
razem	mk. 97806.20

Ponownie wybrano do Rady Nadzorczej pp. radzcę dr. Zielewicza i posła radzcę dr. Mizerskiego, jako nowy członek wstępuje do Rady Nadzorczej p. Adam hr. Żółtowski z Jarogniewic. Po spisaniu aktu notaryalnego przez p. mecenasa Trąmpczyńskiego zamknął przewodniczący zebranie.

— **Bank Ludowy w Poznaniu.** Z piętnastego sprawozdania z działalności w roku 1909, podajemy następujące szczegóły:

Ogólny obrót wynosi! 6 666 481,99 mrk. Bilans w aktywach i pasywach wynosi 863 581 mrk. 01 fen. Obrachunek zysków i strat wykazuje 50 951,97 mrk. Czysty zysk wypracowany w roku 1909 wynosi 7002,73 mrk.

W końcu roku 1908 liczyła Spółka członków 807, w roku 1909, przybyło nowych członków 117, w ciągu roku 1909 ubyło członków przez wystąpienie 31, przez śmierć 17, przez wykluczenie 12; razem 60 członków. Przechodzi na 1910 rok 864 z 910 udziałami.

Udziały obowiązkowe wynoszą 500 mrk., którą to sumę osięgnęło 68 członków z 114 pełnymi udziałami. Przeciętnie wypada na jednego członka 155,28 mrk. wpłaconego udziału.

Wpłacone udziały spólników wynosiły w końcu roku 134 160,90 mrk., i powiększyły się w roku 1909, o 10 928,98 mrk.

Suma kwot gwarancyjnych powiększyła się w roku 1909 o 58 000 mrk.

Z końcem roku wynosiła odpowiedzialność wszystkich członków razem 910 000 mrk.

Depozyty wynosiły w końcu roku 1909 629 542,96 mrk., a pożyczki udzielone za wekslami 786 919,46 mrk.

Radę nadzorczą stanowią pp. dr. Maćkiewicz, prezes, A. Janowicz, wiceprezes, Ł. Wojciechowski sekretarz, W. Jeske, M. Kasprowicz, B. Noskiewicz, M. Sobkowiak. Zarząd pp. Jan Kosicki, dyr. Stan. Chmielewski, kasyer i Józef Ganke kontroler.

— **Powrócił** z podróży p. Dr. A. Karwowski, specyalista w chorobach skóry i pęcherza.

— **Zapytanie.** Jedna z naszych Czytelniczek zapytuje się Szanowne panie w którem mieście na prowincyi możnaby z powodzeniem urządzić czterotygodniowy kurs robótek artystycznych i modnych? Informacye prosimy nadesłać do redakcyi „Pracy“.

— **Fotografie pogrzebu.** Dowiadujemy się, że zrobiono udatne zdjęcie fotograficzne pogrzebu śp. ks. radcy Michalskiego. Fotografie nabyć można w zakładzie fotograficznym Domu towarowego K. Ignatowicz.

— **Pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa.** W dniu 25 marca br. obchodził 50 letni jubileusz kapłaństwa ks. Władysław Heydlucki w Weesen w Szwajcaryi. Czcigodny jubilat urodzony w roku 1835, spędził dziecięce lata pod opieką rodziców swoich w miasteczku Pniewach, następnie oddano go do gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu. Ukończywszy studya wyjechał do Warszawy i wstąpił do nowicyatu w zakonie św. Franciszka, gdzie po kilku latach został wyświęcony na kapłana A że posiadał wielkie zdolności i wybitne cnoty kapłańskie, powołano go wkrótce na profesora do seminaryum duchownego w Warszawie, gdzie przez czas dłuższy wśród alumnów z wielkim dla nich pożytkiem pracował. W roku 1863 wskutek powstania zamknięto w Królestwie klasztory; został więc kapłanem świeckim i przeniósł się do Weesen w Szwajcaryi, gdzie dotąd chlubnie dla chwały bożej pracuje. Swymi artykułami zasilał różne pisma w kraju, zasłynął jako autor pięknych religijnych powieści i żywotów świętych Pańskich, drukowanych przed laty także w „Niedzieli“ poznańskiej w oficynie śp. Ludwika Rzepeckiego.

Mamy nadzieję, że zdolniejsze pióro skreśli żywot i wyliczy zasługi tego ze wszech miar zacnego i świątobliwego kapłana. Na teraz przyjm zacny i czcigodny kapłanie od Twych wielbicieli jak najszczersze życzenia obfitości łask boskich przy jaknajdłuższem szczęśliwem życiu. **Wielbiciele.**

— **Młoda Polka,** która pragnie założyć skład towarów krótkich, wełnianych i bielizny. prosi Szan. Czytelników o łaskawe informacye gdzieby mogła się osiedlić i liczyć na powodzenie. Łask odpowiedzi uprasza złożyć do redakcyi „Pracy.“

Z dziedziny wynalazków. Patent zameldował p. Stanisław Urbanowicz z Wrześni na własnego pomysłu kłódkę do skrzyń, którą zamykać można z jednej i drugiej strony.

Ochronę modelową czyli tak zwany patent mniejszy uzyskali: p. Józef Zeyland w Poznaniu, przy ulicy Alejowej 7 na okno podwójne; p. Witold Skórzewski na Lubostronniu na przyrząd do desinfekcyi, składający się z dwóch oddzielnych komórek; pp. S. Zboralski i J. Poltowicz z Skrzypna pod Pleszewem na przyrząd sygnałowy do chłodnic przy kadziach zaciernych; p. Franciszek Chłościński w Mosinie na przyrząd, zaopatrzony w noże do mieszania gliny przy tłoczniach do fabrykowania cegieł.

— **Poznań — Jeżyce.** Na budowlę sali towarzyskiej w Jeżycach wpłynęły w dalszym ciągu składki, ogłoszone w pismach codziennych.

Za składki te niniejszem serdecznie dziękujemy i zarazem prosimy gorąco dalsze składki na ręce skarbnika p. Łucyana Wojciechowskiego Poznań W. 6. Wielka Berlińska 54, albo do gazet polskich nadsyłać. Sprawa nagła i piekąca.

W imieniu Komitetu budowy sali w Jeżycach.

Dr. Maćkiewicz, prezes. **Łucyan Wojciechowski,** skarbnik.

— **Koźmin.** Dnia 13-go z. m. wieczorem o godz. 8-mej odbyła się na sali p. Karasiewicza z łona tutejszego Koła Śpiewackiego rzadka i wzniosła uroczystość ku czci naszego wielkiego mistrza Chopina. Kantata Galla na mieszane i przez dyrygenta p. Gwizdałę dobrze wćwiczone głosy przy akompaniamencie fartepianu rozpoczęła wzniosłą tę uroczystość. Es-dur polonez (Chopina) odegrany na fortepianie przez panią Maryę Ruge, zrobił na licznie zebranej publiczności wielkie wrażenie. Pani Ruge czarowała swą techniką wszystkich słuchaczy. Piękny i nader zajmujący odczyt o Chopinie opracował i wygłosił ks. Edmund Kasior z Koźmina. Śpiewy dobrze wćwiczone, jak „Życzenie i marzenie“ (Chopina) nie pozostawiały nic do życzenia. Melodeklamacya (Dzwony Ujejskiego) wypowiedziana przez druha Wieczerskiego przy nader umiejętnym akompaniamencie fortepianu wypadła nadspodziewanie. Polonez A-dur (Chopina) na mieszane głosy przy towarzyszeniu fortepianu, zakończył piękny ten wieczór, do którego urządzenia nie tylko tutejsze Koło Śpiewackie wiele starań dołożyło, lecz także i znany ze swej pracy publicznej ks. prałat Łukomski przyczynił się nie mało.

— **Kolonia, 29-go marca 1910.** Tutejsze stowarzyszenie hakatystów „Ortsgruppe Koeln des deutschen Ostmarken-Vereins“ odbyło w ostatnim czasie roczne walne zebranie w kasynie cywilnem. Naturalnie, jak wszędzie i zwykle, i tutaj wszyscy mówcy szczuli na Polaków, mówili wiele o „Polen im Ruhrgebiet,“ ale wreszcie przyznać musieli, że robotnik polski jest chętny, umiarkowany i pracowity. Generalny sekretarz Towarzystwa Schulz oświadczył zebranym, że według jego informacyi jeszcze w tym roku rząd rozpocznie wywłaszczać Polaków.

Kończę na tem, gdyż „szkoda czasu i atłasu“, aby się szerzej rozpisywać o krzyżackiej polityce i dążnościach hakatystów, którzy prędzej czy później na swym interesie zupełnie zbankrutują.

Gorliwy czytelnik „Pracy“.

Nekrologia.

† **Ś. p. Józef Mikołajczak,** aptekarz z Bourges-Namur w Belgii, dnia 14-go z. m. — **Ś. p. Helena Nowicka,** dnia 27-go z. m. w Inowrocławiu. — **Ś. p. Sylwester Wanjorek,** znany skrzypek i nauczyciel emerytowany w Poznaniu dnia 29-go z. m. — **Ś. p. Marcin Pogorzelczyk,** dnia 29-go z. m. w Poznaniu, na Jeżycach — przeżywszy lat 61. — **Ś. p. Jan Łuczak,** towarzysz sztuki drukarskiej, dnia 25-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 32. — **Ś. p. Marya z Schultzów Spechtowa I. voto Kutznerowa,** dnia 28-go z. m. w Poznaniu w 72-im roku życia. — R. i. p.

Nowe książki i treść pism.

Ks. Dr. K. Zimmermann: O społecznych zadaniach i potrzebie organizacyi nauczycielek. Nakład autora. Czcionkami Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu. Stron 28. Cena 40 fen.

Broszurkę tę polecamy gorąco tak tym osobom, które ona bezpośrednio obchodzi, jak wszystkim, którzy się sprawą społeczną zajmują. Na szczególniejszą uwagę zasługuje główny rozdział broszurki, traktujący o zadaniach społecznych nauczycielek, a zawierający szereg myśli i postulatów słusznych, a u nas nowych i niepraktykowanych.

Michał Sobeski: Cieszkowskiego Prolegomena do Historyozofii. Odbitka z Biblioteki Warszawskiej. Warszawa 1910. Stron 37.

Sfinks zeszyt III zawiera prace: Adolfa Strzeleckiego, Sieroszewskiego (powieść), Kreczmara, Łunińskiego, Marcinowskiej Jabłczyńskiego, Zalewskiego, Elea, Lipińskiej, Rabskiej, Savitri. Przeglądy i sprawozdania: Klemensiewiczowej, Zabłockiego, Kleczyńskiego. Tudzież liczne artystycznie wykonane dodatki ilustracyjne i winiety pierwszorzędnych mistrzów.

Chleb nasz powszedni. Berlin, nakładem wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin N., Weissenburgerstr. 27). Cena z przesyłką: 30 fen., 35 hal., 20 kop.

Książeczka ta zawiera zwięzły pogląd na sposoby przyrządzania mąki i chleba, od najdawniejszych począwszy czasów, zwraca uwagę na szkodliwości zbyt „przedniej“ czyli białej mąki, z jakiej obecnie nasz „chleb powszedni“ przeważnie wyrabiamy, rozbiera szkodliwości dla zdrowia długiego zaczyniania ciasta (szczególnie solą), i podaje w końcu szereg przepisów wyrabiania zdrowego chleba bez drożdży i bez kwasu, dla osób zdrowych jako też dla chorych. Przepisów tych jest dużo, a niektóre są stosunkowo proste, tak że każdy z łatwością wypróbować je może.

Nr. 3 (na Marzec) wyszedł „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin: Weissenburgerstr. 27) i zawiera następującą treść: Wpływ wiosny na stan zdrowia. — Pobudzanie energii postem! — Badanie moczu (z rycinami). — Opiekanki jarskie. — Ważność czystości rąk dla zdrowia. — Czy i jak można wiek dorastania uczynić mniej niebezpiecznym? — Leczenie influency. — Zdrowotne wskazówki na porę obecną. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

Ruchu chrześciańsko-społecznego ukazał się zeszyt 6 i zawiera:

Z doświadczeń ostatniego roku (ks. St. Adamski). — Pogląd na ruch chrześciańsko-społeczny w Łodzi i Częstochowie (ks. J. Kozłowski). — Przyczynek do zbadania ruchu ludnościowego w W. Ks. Poznańskiem na podstawie spostrzeżeń poczynionych podczas kolendy w parafii murzynowskiej roku 1909. (ks. Jan Donat). — Rozwój Związku katolickich Towarzystw robotników polskich w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej w r. 1909. XI. Zjazd ks. ks. Patronów i Wicepatronów i XI. Zjazd delegatów Związku. — Materyał do wykładów i nauk: Przesilenie (Ks. Niedźwiedziński). — Znaczenie stowarzyszeń młodzieży. — Alkohol i jego złe skutki.

Z działu ruchu socyalistycznego zwracamy uwagę na Sprawozdanie Zarządu Polskiej Partyi Socyalistycznej zaboru pruskiego za rok 1909 i Udaremnienie założenia socyalistycznego towarzystwa dla robotnic w Inowrocławiu — z wiadomości literackich na omówienie prof. Brentana: Wirtschaftspolitik und Finanzpolitik Dr. Barthelme: Das deutsche insbesondere das preussische Sparkassenwesen und das Scherlsche Praemiensparsystem.

— **„Śpiewaka,“** miesięcznika literacko-muzycznego, wyszedł zeszyt 3-ci na marzec i zawiera: 4 odezwy od wydziału. Prolog Kornela Makuszyńskiego ku czci Chopina. Fryderyk Chopin, fantazya. Nekrolog ks. Jana Koźmiana, poświęcony pamięci Fryderyka Chopina. Istota twórczości Chopina. Wiadomości ze świata muzycznego.

Adres ekspedycyi: Józef Ganke, Poznań, Kwiatowa 9.

— **Świętobliwa księżniczka Ofka i klasztór Dominikanek w Raciborzu.** Kartka z dawnych dziejów Śląska. Taki jest tytuł nowej broszury, wydrukowanej na pięknym papierze i ozdobionej kilku obrazkami. Broszura zawiera opowiadania wypadków rzeczywistych czyli historycznych z dawnych dziejów Śląska i powinna zainteresować wszystkich tych rodaków, którzy pragną poznać dzieje i czyny dawnych przodków naszych na Śląsku. Każdy naród powinien się starać o poznanie swej przeszłości, więc też i my Polacy na Śląsku powinniśmy się starać o poznanie tego wszystkiego, co przed nami na tej naszej ziemi śląskiej się działo. W tej myśli polecamy wszystkim miłośnikom historyi śląskiej wyżej wymienioną broszurę, której cena wynosi 50 fenygów. Nabyć można tę broszurę w księgarni **„Katolika“** w Bytomiu (Beuthen O.-S.), oraz od pp. agentów i kolporterów gazet polskich. Ponieważ tylko niewiele egzemplarzy tej broszury wydrukowano, przeto zaleca się, aby nie zwlekać, ale ile możności **zaraz** sobie tę broszurę zamówić.

Od Redakcyi.

— **Nadesłanych artykułów, wierszy, notatek itd. nieopatrzonych w imię i nazwisko, wogóle w dokładny adres autorów, tylko w inicyały, lub też w pseudonimy, nie zamieszczamy, lecz niszczymy.**

Nie odpowiadamy także na listy nadesłane do Redakcyi bez podpisu lub też zaopatrzone w inicyały.

— **Państwu K. w W. na Dolnych Łużycach.** — Sprawa już załatwiona.

— **Obywatelskiej Kasie zabezpieczeń w Poznaniu.** — Notatkę o zeszłoczwartkowem walnem zebraniu otrzymaliśmy za późno, dnia 26-go z. m. (w sobotę), więc zamieścić nie mogliśmy w ostatnim zeszycie.

— **Panu Alfredowi B. w R. na Górnym Śląsku.** — Wskutek niedokładnego adresu zwróciła nam poczta przesyłkę. Dziś już sprawa załatwiona.

— **Panu S. M. w Żninie.** — W księgarniach lub też antykwarniach. Bliższe informacye przechodzą granicę naszej kompetencyi.

— **Panu Janowi K. w K. (Galicya.)** — Pruskie stare talary są już wycofane z obiegu zupełnie i mają obecnie tylko wartość srebra.

— **Panu W. H. w Strzelnie.** — Nie wiemy.

Reklamy.

„Hestia“. W rozwoju naszego handlu do zapisania mamy ważny fakt. — Właściciel znanej w Poznaniu i poza jego granicami drogeryi **„Universum“** p. B. Śniegocki w nowej swej kamienicy t. z. **„Złotym Domu“** na rogu ul. Rycerskiej i św. Marcina założył olbrzymi skład sprzętów i naczyń kuchennych pod firmą **„Hestia“.**

Jeżeli dzisiaj „Universum“ powszechnem cieszy się uznaniem wsi i miasta, to zawdzięcza to niezwykłej obfitości i dobroci towarów drogeryjnych, tualetowych, przypraw i korzeni, ekstraktów i esencyi, z dala od składu już mile nozdrza łechcących perfum i kosmetyków, bogatym zapasem koniaków, rumu i oliwy, herbaty i czekolady, oraz tak niezbędnych w rolnictwie smarów, farb i lakierów.

Nie wolno zapominać także o jedynej u nas kolekcyi przezroczy, liczącej blizko setkę seryi obrazów świetlanych wraz z odpowiednim tekstem. — B. Śniegocki oddał i oddaje przez stałe doskonalenie i rozszerzanie popularnych wykładów świetlanych społeczeństwu naszemu wielkie usługi. — Przytem wszystkiem jest energicznym i praktycznym przedsiębiorcą. — Już w „Universum“ w dziale swym korzeni, przypraw, ekstraktów i proszków leguminowych wszedł w styczność z dziedziną, w której włada pani domu. — Jak „Hestia“ przyprawianiem ambrozyi dla bogów cieszyła się niepodzielnie ich miłością, tak i dzisiaj tylko ta pani domu, która dla wybredniejszych żołądków panów świata ma do dyspozycyi wszelkie ulepszenia sztuki kulinarnej, trafia do serca swego władcy.

Wie to zaś przedewszystkiem przezorny kupiec, który ten pokojowy zabór ułatwia. — Kto pragnie się o prawdzie tych słów przekonać, niech zwiedzi otwartą właśnie firmę „Hestia“ przy ul. Rycerskiej nr. 33.

Zdaleka już podpadają nam gustownie urządzone, olbrzymie 4 okna wystawy. Wnętrze odpowiada im najzupełniej. Obszerne, czyste i widne lokale urządzone są przejrzyście i dogodnie dla zwiedzającego. Oko dobrej gospodyni, prawdziwej doznaje rozkoszy na widok mnóstwa porcelany i szkła od najtańszych aż do najdroższych rodzajów. Osobny dział tworzą sprzęty kuchenne oraz proste i tanie, a tak użyteczne narzędzia pomocnicze francuskiego systemu do gotowania i pieczenia. — Naczynia aluminiowe, znacznie cięższe i trwalsze od dotychczas znanych, a mimo to ani o fenyg nie droższe, obok koprowych, niklowych i kamiennych osobną znów tworzą kolekcyę. Przeniesiony z „Universum“ dział dotyczący pszczelnictwa stosownie do coraz bardziej rosnących zapotrzebowań, znacznie został rozszerzony i zawiera wszelkiego rodzaju ule, kuszki, siatki, miodarki, noże itd., tak że każdego bartnika najwybredniejsze zadowoli żądanie. — Nie możemy także pominąć bogatego zapasu narzędzi ślusarskich i stolarskich, noży stosownych dla rozmaitych zawodów, scyzoryków, sztućców w oprawie masy perłowej oraz skromnych przyrządów do codziennego użytku.

Łóżka żelazne i garnitury do mycia w wszystkich cenach, maglownie, przedmioty podarkowe, z nowego metalu „Shaku-do“, hamaki, powrozy, klamry i mnóstwo pożytecznych przedmiotów uzupełniają ten przegląd pobieżny. Zaszklone składy zapasowe i sklepy w jedną z głównym interesem łączą się całość.

Notatka powyższa powinna zachęcić publiczność do zwiedzenia firmy „Hestia“, której wspólnik i kierownik p. Adam Sypniewski wszelkiemi służy objaśnieniami. — Także i gość niekupujący z równą uprzejmością zostanie przyjęty. Każda zaś z pań naszych niech sobie weźmie za dewizę:

Tylko ta żona serce mężowskie zdobędzie,
Która w naczyniach „Hestji“ obiad warzyć będzie.

O najwyższy hołd królowej Jadwidze.

Ks. biskup Władysław Bandurski ogłasza pod powyższym tytułem list otwarty, w którym domaga się kanonizowania królowej Jadwigi.

Wydana w tej sprawie przed sześciu laty przez ks. biskupa Bandurskiego odezwa p. t. „Zbudźmy Jadwigę“, znalazła szeroki oddźwięk we wszystkich dzielnicach Polski. Około płyty Jadwigi zaczął się znowu ruch kultu i rozbudziła się ufność w jej orędownictwo. Uciekano się do niej w potrzebach, znoszono jej kwiaty i wieńce. Pojawiły się także pierwsze wota dziękczynne, zawieszane nad arkadą obok grobu. Do owej czarnej płyty garnęły się także pielgrzymki ludowe.

Kanonizacya atoli nie wpierw nastąpić może, dopóki nie zostaną dostarczone dowody świątobliwości życia, cnót wybitnych i cuda, należycie rozpatrzone i przez władzę duchowną potwierdzone.

Już dwadzieścia lat po jej zgonie rozpoczęli ówcześni biskupi polscy starania o proces kanonizacyjny, zbierając i rozpatrując cuda, Jadwidze przypisywane. Z licznych dokumentów, odnoszących się do tej sprawy, przetrwał do naszych czasów jeden zaledwie akt, potwierdzający wiarygodność dwóch cudów z roku 1419. Akt ten ogłosił w swoim czasie prof. Piekosiński. Oba te cuda dotyczą uzdrowienia dwóch osób, chorujących na ciężką chorobę. Pierwszy uzdrowiony Jan, dziedzic na Beszczach w krakowskiej dyecezyi, „trapiony był przewlekłą chorobą, mając nogi pokryte pęcherzami czy wrzodami, tak, iż ani stać, ani chodzić nie mógł. A skoro uczynił ślub królowej Jadwidze, natychmiast doznał dziwnego polepszenia tak, że nazajutrz począł bez trudu chodzić.“

Drugi uzdrowiony Jakób Kobyliński zeznał pod przysięgą, że również był dotknięty od dłuższego czasu ciężką chorobą. A gdy polecił się opiece królowej Jadwigi, obiecując pójść pieszo do Krakowa i grób jej nawiedzić, natychmiast odzyskał w zupełności zdrowie.

Przytaczając te cuda nawołuje ks. biskup Bandurski do podjęcia starań w tym kierunku, aby rok grunwaldzki stał się punktem wyjścia dla rozległej akcyi na cześć królowej Jadwigi.

„Kto może — oto końcowe ustępy listu — niech umożliwi swą ofiarnością proces kanonizacyjny! niech pomyśli, że skoro tylko Stolica św. na to zezwoli, Jadwidze inna będzie się należała trumienka, niż ta drewniana, spró-



Królowa Jadwiga.
Reprodukcya obrazu Józefa Męciny Krzesza. Oryginał jest własnością ks. biskupa Władysława Bandurskiego ze Lwowa.

chniała wśród gruzów, w której odnaleziono Jej zwłoki w r. 1887.

Lecz przedewszystkiem trzeba nam cześć i miłość naszej świątobliwej Królowej rozniecać w najszerszych warstwach narodu. W pismach, odczytach, opowieściach odtwarzajmy rysy tego przepięknego żywota! Mówmy ludowi naszych miasteczek i wiosek o Jej współczuciu dla Jego niedoli — o Jej miłościwej nad uciśnionymi opiece!

Niech odtąd dla nikogo w Polsce, nawet dla najmniejszych wieśniaczych dziatek, obcem nie będzie to imię!

Kobiet to polskich i młodzieży naszej wdzięczne zadanie.

Dla żądnej nauki i czynu młodzieży Ona miłości, wiedzy i hartu woli szczytnym ideałem! Oddawna już polskie kobiety powołują się z dumą na Jadwigę, jako na wzór mądrości, poświęcenia i wiedzy, jako na tę, która światłym swym umysłem i cnotą nad całem górowała otoczeniem.

Nie jedna matka, przeznaczając swej córce to imię, marzyła, że ją oddaje tem samem pod opiekuńcze skrzydła

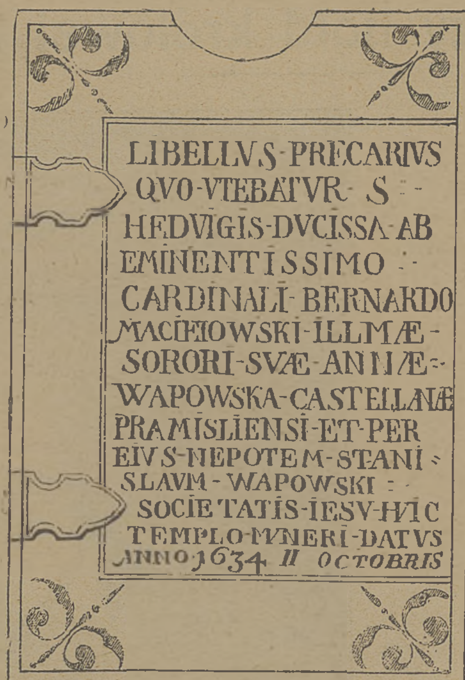


Wizerunek królowej Jadwigi z obrazu, który się znajdował nad grobowcem Władysława Jagiełły na Wawelu.

Apostołki Litwy, Zjednoczonej Polski Wielkiej Królowej; tak silną była wiara w Świętość Jagiełłowej Małżonki, że Ją zbyt często mieszano z Księżną Śląską, Jadwigą, której święto obchodzi kościół w dniu piętnastego października.

A więc do dzieła!

Niechże się potworzą po całym kraju komitety w celu zbierania podpisów z prośbą o rozpoczęcie procesu kanonizacyjnego! Gdy tych podpisów zbierze się milion, jak owych koron na szkoły kresowe, wówczas Biskupi polscy, którzy dziś już tę sprawę uważają za swoją, poprowadzą ją dalej, u stóp Ojca św. pokornie przedłożą, poprą świadectwem wieków i, da Bóg, dowodami nowych łask i cudów. Bo cudów Jadwigi potrzeba jeszcze koniecznie: uprosić je może tylko wiara gorąca dusz polskich, ufne w potrzebach i smutkach wzywanie. I przyjdzie czas, że nam Jadwiga odpowie, Swego orędownictwa ześle znak widomy, do ludu swego wdzięcznego miłościwie z nieba wyciągnie ramiona i powiedzie go znowu szlakami powodzenia i chwały“.



Modlitewnik królowej Jadwigi.
(Kartka tytułowa).



Losy polskich insygniów królewskich.

O losach polskich insygniów królewskich obiegają najsprzeczniejsze wieści. Według jednych zostały one zrabowane ze skarbca na Wawelu przez wojska pruskie. Są jednak i tacy, którzy utrzymują, że znajdują się one w bezpiecznem ukryciu. Do tych ostatnich należał znany w Polsce patryota-zakonnicki **O. Wacław,** który zmarł w Krakowie przed kilku laty w klasztorze Kapucynów.

Interesujące szczegóły, zasłyszane od niego przynosi obecnie w „Słowie Polskiem“ Dr. Juliusz Bandrowski.

Dnia 28-go września 1894 bawił on z Drem Danielakiem w celi O. Wacława. Rozmowa skierowała się na losy polskiej korony, przyczem jeden z nich wyraził się z powątpiewaniem o istnieniu korony. W rozmowie, jaka się wskutek tego w dalszym ciągu wywiązała, stwierdził O. Wacław stanowczo, że najważniejsze insygnia królewskie w istocie istnieją. Powtórzenie tej nadzwyczaj ciekawej rozmowy, podajemy dosłownie za Drem Bandrowskim:

— Ty pytasz, gdzie ta korona? Sądzisz, że jej niema?...—rzekł O. Wacław.

A kiedy odpowiedziałem, że u Prusaków, długo wahadłowym ruchem głowy przeczył.

I stała się dziwna chwila ciszy klasztornej, którą zakonnik przerwał wreszcie, mówiąc jakby do siebie:

— I korona jest, i berło, i jabłko, i szczerbiec....

— Gdzie? — zawołaliśmy zaciekawieni.

— Nie powiem. Wierzyć trzeba.

Padła na to aluzya do korony niebiańskiej, wieńczącej skronie Matki Boskiej, królowej korony polskiej...

— Nie, nie o tej mówię — odparł O. Wacław z mocą — ale o tej **naszej,** koronie koronacyjnej Jagiellonów, Batorego, Wazów i wszystkich aż do ostatniego, o tej „privilegiata,“ która nie zaginęła, jak i Szczerbiec, i jabłko i berło... jest, wszystko jest...

A kiedy zaklinany naszemi prośbami, błaganiem wreszcie, by powiedział, **gdzie** są te insygnia, skąd i co o nich wie, nic nie odpowiadał, tak, że ponownie zaczęliśmy naprowadzać dowody, iż stały się łupem Prusaków. Wówczas rzekł wreszcie, jakby z równowagi wyprowadzony:

— Daję wam na to kapłańskie me słowo, że są, że schowane w bezpiecznem miejscu i że sam je osobiście raz widziałem...

— Gdzie, kiedy, jak? — posypały się nasze gorączkowe pytania.

— Widziałem je raz w nocy, daleko stąd — odrzekł z tą powagą prawdy i najgłębszego przeświadczenia, z jaką czasem opowiadał przeżyte w powstaniu epizody, mało komu znane.

Oczywiście tem wyznaniem, a do tego umocnionem „słowem kapłańskiem“ wyprowadził nas zupełnie już z równowagi, wyzbyć się nas nie mogąc z celi, ni ujść naszym błaganiom, naszym zaklęciom i na krzyż ofiarowanym przysięgom, że dochowamy tajemnicy. Nie mogąc go jednak ubłagać, zrzekaliśmy się już odpowiedzi na wszystkie pytania w zamian za jedno:

— Gdzie to było wówczas w nocy?

— Było to... — tu się chwilę zastanowił — w dobie przeniesienia tych insygniów stamtąd na inne, pewniejsze jeszcze, miejsce.

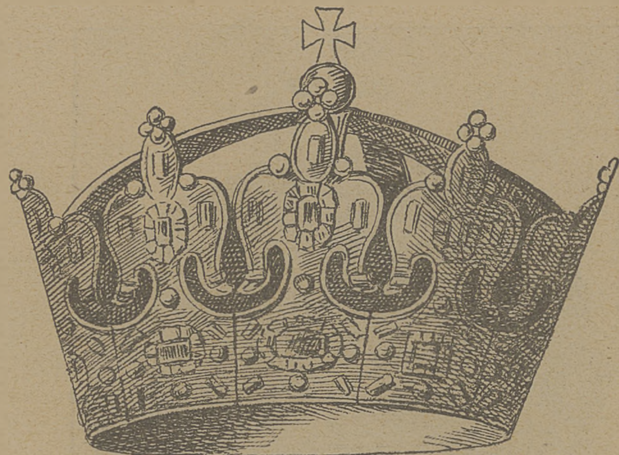
Ciekawość nasza rosła. Mnożyły

się krzyżowe pytania, które oplątywały zakonnika, w matnię wciągnąć go usiłując.

I znowu padło odosobnione słowo:

— ...Nie sam. Trzech nas tam było...

Posypał się nowy grad natarczywych zapytań, próśb i błagań.



Korona Bolesławowska.

O. Wacław milczał już jak zaklęty. Nie krył nawet swego zniecierpliwienia. Padło wreszcie słowo:

— Z Bogiem.

Nie wiedział jednak, że w tej chwili przyjdzie mu czoło stawić nie już prośbom, nie błaganiom, nie zaklinaniom — ale wprost zmierzyć się oko w oko z zaciętością i determinacyą naszą, godną chyba tak wielkiej sprawy.

Zakonnik-patryota usłyszał wówczas jakby może własne z przed laty rozpaczliwe wołanie gorącej duszy polskiej o tajemnicę wiary w przyszłość męczeńskiego narodu, złożonej i przechowanej w świętym, pełnym mocy talizmanie korony polskiej...

— Niewiele więcej powiem. Ale uwierzycie, gdy powiem, że wiąże nas, mnie, świętej przysięgi ślubowanie. Uwierzcie i ufajcie. Powiedzieć mogę tylko tyle. Nie ja jeden widziałem, jak i nie ja jeden znam tę tajemnicę. Od chwili wyniesienia z Wawelu i schowania insygniów królewskich, posiadają tajemnicę zawsze równocześnie trzej ludzie w Polsce, z których każdy ma już z chwilą swego wyboru wyznaczonego po sobie następcę, wcale sobie nieznanego ni z osoby, ni z nazwiska. Jak udzielana bywa z pokolenia w pokolenie ta tajemnica, którzy są ci dwaj jej współświadomi ze mną, jak i gdzie odbywa się od czasu do czasu stwierdzanie insygniów w ukryciu, nie powiem — nie mogę. To, com powiedział, świętością kapłańskiego słowa poręczam. Wierzycie?

Milczeliśmy w zadumie.

— Więc amen i... z Bogiem.

Opis to tylko rozmowy tak jak ją zapamiętałem w chwili głębokiego wrażenia przez pietyzm dla tematu, i cześć dla zakonnika-patryoty, a męczennika za sprawę narodową.

Również ciekawe szczegóły przynosi w tej samej kwestyi Dr. Danielak w „Now. Reformie,“ który bywał często u O. Wacława.

Gdy raz wspomniano — pisze on — że Szczerbiec jest w Petersburgu, ks. Wacław się uśmiechnął i powiedział:

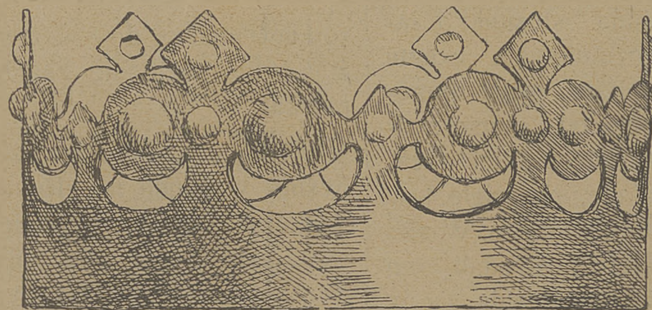
„Niech im się zdaje, że mają Szczerbiec.“

O koronach królewskich, o insygniach koronacyjnych i o szczerbcu mówił ś. p. ks. Wacław tak:

„Wierzcie mi i bądźcie zupełnie pewni, że nasze insygnia królewskie **są w polskich rękach**, istnieją **i nie dostały się do rąk żadnego z zaborców,** i nie dostaną się, a zostaną wydobyte dopiero wtedy, gdy będzie potrzeba, gdy nadejdzie ta szczęśliwa, oczekiwana chwila, iż naród w pochodzie tryumfalnym będzie wiódł króla swego na Wawel na koronacyę.“

A gdy to mówił świątobliwy starzec, błyszczały mu oczy jakby jakiemś nadziemskiem natchnieniem. A dalej mówił tak:

„Jest przecież rzeczą niewątpliwą, że gdyby który z zaborców miał nasze klejnoty koronne, to byłby się już dawno niemi pochwalił.“



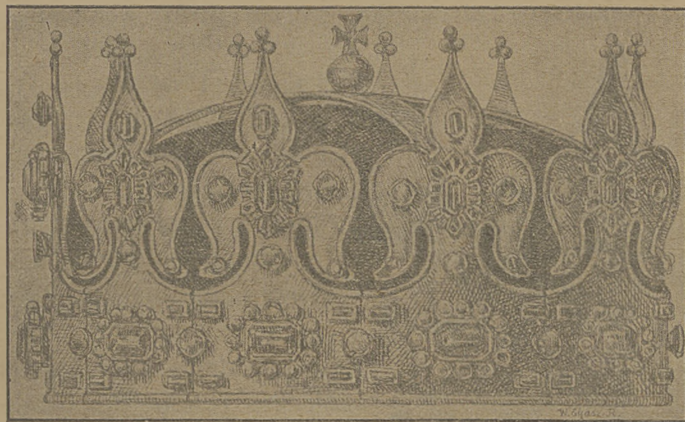
Korona znaleziona na głowie królowej Zofii w grobie na Wawelu.

„Dnia 25-go kwietnia 1794 roku, a więc przed wtargnięciem na Wawel Prusaków, ks. kanonik Sebastyan Sierakowski, kustosz koronny, wydobył ze skarbca insygnia królewskie i przesłał je przez gwardyana Kapucynów O. Kajetana do Podkamienia, do klasztoru Dominikanów. Przechował je tamże biskup Cieciszowski. Stąd przewieziono je do Łucka, z Łucka do Włodzimierza i tam w klasztorze OO. Kapucynów pozostawały w dobrem ukryciu do roku 1842.“

Gdyśmy raz zaczęli wypytywać się, co się z niemi stało po r. 1842, ks. Wacław rzekł:

„Nie pytajcie, bo nic więcej powiedzieć nie wolno“.

Powiedział jedynie, pod którym zaborem są dobrze ukryte, a z dalszych słów rzucanych przez niego, można było wywnioskować, że dwóch, a nie trzech (jak pisze dr. Bandrowski), lu-



Korona Bolesławowska, uprzywilejowana do koronacyi królów.

dzi i to najprawdopodobniej zakonników, zna tajemnice ukrycia insygniów królewskich. Jestem zupełnie pewny, że jednym z nich był śp. ks. Wacław, a drugim najprawdopodobniej, już również zmarły, ks. Kalinowski, przeor klasztoru Karmelitów Bosych w Czerny.



Zapomniany lud polski.

Napisał

G. SMÓLSKI.

(Dokończenie.)

O położeniu ludu polskiego na Węgrzech pisze anonim J. Z.: „Na Orawie, którą zamieszkuję razem ze Słowakami zachodnimi, przyswoili sobie górale nasi niektóre ich wyrazy, sposoby mówienia i zwyczaje; na Spiżu mieszkając nawspół z Niemcami, Słowakami wschodnimi i Rusinami, przyjęli dużo nawyknień od tych, w szczególności od Słowaków i Rusinów, z którymi częstsze mają stosunki i łatwiej mogą się porozumiewać, czemu też dziwić się nie można, gdyż długotrwałe ich oddzielenie od macierzyńskiego szczepu i narzucenie im obcego narzecza w szkole, kościele i w prawodawstwie wpłynęło na to. W zjednoczeniu z Węgrami postradali oni wszelką sposobność kształcenia się w rodowitym języku, a węgierskie władze tak duchowne, jak i świeckie, nie przestają dotąd zapierać ich odrębności narodowej, krzywdząc ich w przyrodzonych prawach częścią z umysłu, częścią wskutek nieświadomości. Nie uwzględniając bowiem różnicy między nimi a Słowakami, traktują ich z pominięciem wszelkich zasad słuszności jako Słowaków. Duchowieństwo, rząd usiłują polskiej ludności narzucić idiomat słowacki. Skutkiem tej zawziętości praktykuje się tu niesłychane zjawisko, iż parafie, zamieszkane przez włościan polskich, obsadzone bywają księżmi słowackimi, tudzież że do szkół parafialnych, w pośród nich istniejących, nasyłają im nauczycieli Słowaków. Za sprawą tych obcych księży i bakałarzy musi się uczyć lud polski tych okolic języka słowackiego, śpiewać w kościele i modlić się po słowacku, a nawet spowiadać się po słowacku. Język polski wygnany z kościoła, szkoły i z życia publicznego, cofnął się w zacisze domowe ubogiego chłopka, nie wychylając się po za obręb poufnej pogadanki, istnieje jedynie jako gruba mowa wzgardzona.“

To, co przed piędziesięciu kilku laty pisał ten autor, pozostaje dziś jeszcze bez zmiany, a raczej obecnie pogorszyły się stosunki jeszcze bardziej. Wprawdzie mówi on tylko o Spiżu i Orawie, lecz uwagi jego stosują się w równej mierze do wszystkich innych żupaństw gdzie się znajduje ludność polska.

Piekącą najbardziej rzeczą jest, iżbyśmy wpłynęli na Rzym i na rząd węgierski, na kuryę papieską, by polskim parafianom dała polskich księży, na rząd zaś węgierski, by uznał odrębność narodową ludności polskiej i tym sposobem przyznał Polakom prawa narodowe, jakie posiadają Słowacy. W Rzymie powinni w tym kierunku użyć całego swojego wpływu polscy dostojnicy kościelni, z rządem węgierskim powinno rokować w tej sprawie *Koło polskie*, posiadające nie mały wpływ polityczny, — a jedno i drugie przy gorliwem zajęciu się rzeczą, łatwo mogłoby dać się osiągnąć i lud polski na Słowaczyźnie byłby wyzwolony z czeskiej niedoli narodowej.

Tymczasem władze rządowe węgierskie dopuszczają się jaskrawych nadużyć wobec przesiedleńców polskich z Galicyi na Orawie i na Spiżu.



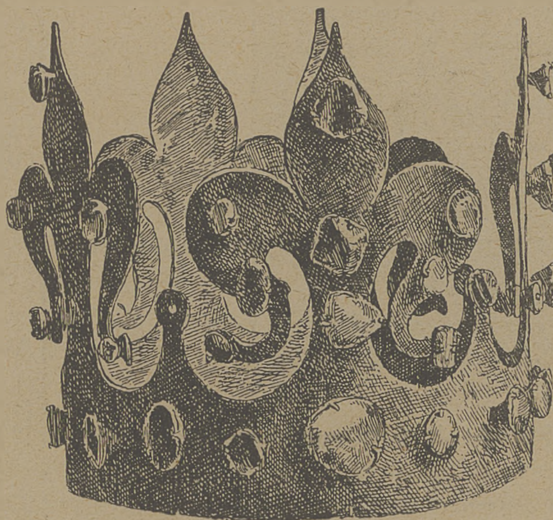
Korona węgierska św. Szczepana.
(Patrz artykuł p. t. „Losy polskich insygniów królewskich“.)

Wysłany w tej sprawie dziennikarski sprawozdawca do Namiestowa na Górnej Orawie pisze: „Nie wierzyłem wprost, by w XX w. mógł istnieć naród kulturalny, z wyjątkiem ...., któryby dokonywał gwałtów, bezprawi, wprost rabunku, a więc zbrodni.“ Przytacza on imiennie nie mniej jak 15 wydaleń Polaków galicyjskich z wsi Bobrowa na Górnej Orawie, którzy tam posiadali gospodarstwa od 12, 18, 19 a nawet od 32 lat. Podobnie jak w Bobrowie dzieje się w innych górnoorawskich wsiach. W podobnych wypadkach jest interwencya Koła polskiego obowiązkiem samego honoru.

Nasza opinia publiczna zachowuje się atoli najobojętniej wobec wyjątkowej niedoli Polaków na Węgrzech, darząc się natomiast sympatyami madziarskiemi, znajdującemi wyraz w znanej piosence: „Polak, Węgier dwa bratanki“, która w istocie rzeczy głosi najwierutniejsze kłamstwo.

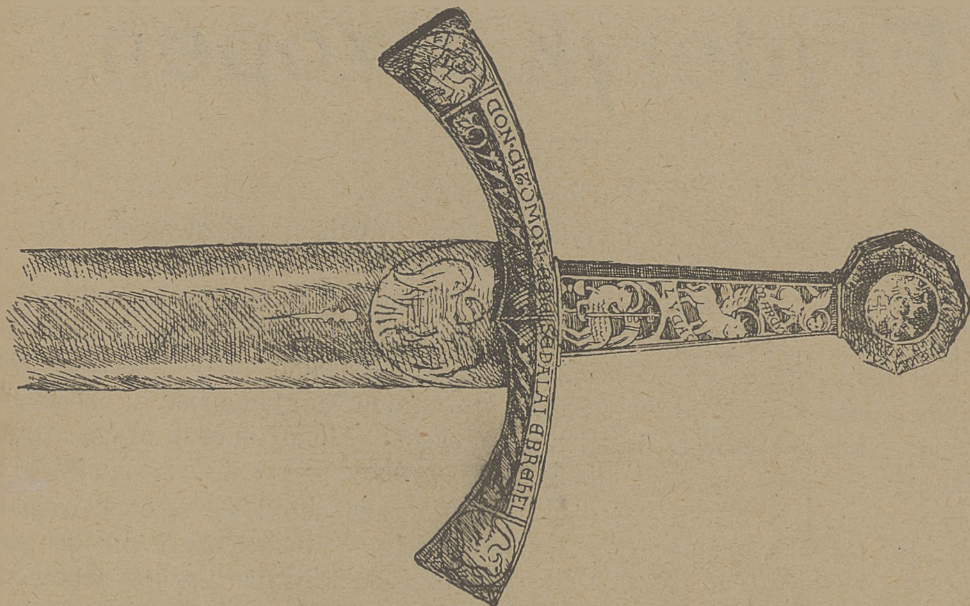
Obok obowiązku ciążącego na naszem duchowieństwie wyższem i na Kole polskiem, ciąży też obowiązek na społeczeństwie polskiem całem, aby dbało o oświatę narodową ludu polskiego na Węgrzech. Pod tym względem dałoby się bezsprzecznie zrobić nie mało. Były też sporadyczne zapędy w tym kierunku, gasnące jednak prędko jak ogień słomiany.

Na rzecz tę i wogóle na gorące pra-



Korona Kazimierza Wielkiego.
(Patrz artykuł p. t. „Losy polskich insygniów królewskich“.)

gnienie oświaty narodowej u ludności polskiej na Górnych Węgrzech, rzucają bardzo znamienne światło listy pisane z Landoka na Spiżu przez włościanina polskiego do pewnej osoby zaopatrującej tę miejscowość w książki polskie. Pozwolę sobie przytoczyć niektóre z nich wyjątki.



Bolesławowski miecz Szczerbiec.
(Patrz artykuł p. t. „Losy polskich insygniów królewskich“.)

Listy pochodzą z r. 1900. Oto ustępy z nich:

„Serdecznie ucieszyłem się z „Zorzy“ (pisma), którą dostałem. Ach, gdybym to ja był gospodarzem, co bym posiadał większe gospodarstwo, to bym zaraz 50 złr. na gazetki i książki polskie wydał. Ale ja dzisiaj nic nie posiadam, okrom żony cnotliwej i sześciorga dzieci, które ledwie z moich 10 palców wyżywiam... My Polacy żyjemy tutaj na węgierskiej stronie bardzo biednie, bo nie mamy żadnej polskiej szkoły, ani profesora... Ja jestem tylko kocisz (woźnica), pański sługa: zimą jadę do lasu, przez wiosnę zaś pługu się trzymam rękami, rolę zoruję — w niedzielę po nieszporach spisuję wierszyki dla dobroczynnych ludzi, którzy o nas dbają i różne wieści i opowieści do nas posyłają.“

W innym liście pisze:

„Z naszego Landoku na Spižu (dobra ks. Hohenlohego) zasyłamy serdeczne podziękowanie za książki i gazetki... Nam trza koniecznie wiedzieć, że jesteśmy narodem polskim, czem nasz kraj ukochany był dawniej a czem jest teraz. Ach, mój Boże, serce nad tem ubolewa! Byliśmy jednym z pierwszych narodów w Europie a tera! Byliśmy jak kopiec mrówek, lecz przyszli nieprzyjaciele i rozburzyli nam kopiec... Oświata jedna podnosi narody. Dotąd u nas starano się o gorzelnie i propinacye, które są zaporą do oświaty... Na zapytanie „Zorzy“, czy daję innym te książki, co je mam do czytania, powiem tak: inne wsie sąsiednie są niemieckie, ino *haw* w Landoku przychodzą do mnie gazdowce i parobcy i biorą często książki i czytują, ale mówią, że nie wszystko rozumieją, co tu jest opisane, to zaś ja im dokładnie tłumaczę, o czem ta książka a o czem owa. Ale są i tacy, co wezmą książkę do domu i trzymają cały miesiąc albo dwa miesięcy i dadzą dzieciom się bawić a dzieci potargają i spokanią książkę. Takim niedbałym czytam sam książki i gazetki. I ja wprawdzie nie jestem uczony, a to, co umiem, to z łaski Boga i z mojej ciekawości, ale i za to Panu Bogu dziękuję, bo przynajmniej wiem, że jestem prawdziwym Polakiem, na polskiej ziemi zrodzonym, i chciałbym tego ducha narodowego, co go sam mam, w każdego sąsiada wpoić, żeby przestali mówić, żeśmy węgierskimi. A całą tę oświatę skądże mam? Z czytania książek i gazetek.“

Inny list opiewa:

„Z wielką ciekawością wyzieram każdego numeru *„Zorzy“*, bo miałem dawno chęć co napisać, ale *barz* mi mało czasu *zwyszy* do pisania, bo rano trza wstawać o 3 godzinie a robota ciężka na pańskim dworze i trwa do 10 wieczór. To zaś *domu* potem muszę dzieciom obuwie i odzienie poprawić, bo by spadło z nich, gdyby człowiek nie połatał. Ale gdy dopadnę trochę czasu, w niedzielę po nieszporach, to biorę pióro w rękę i piszę. Tak też czynię dzisiaj.

Ze dwa roki była tu wielka pustka u nas, w Landoku, nie było po strasznym pożarze ani dzwonów, ani organisty. To nam było bardzo smutno. Ale teraz mamy już i dzwony 3 i organistę, Polaka. Owoż chcą nasi panowie, co sami Węgrzy są, żeby ów organista przysięgał, że się do polskiego kraju nie wróci, ani Polakiem więcej nie zostanie, bo wtedy będzie miał dobrą służbę na Węgrzech. W przeciwnym razie co mu nie wolno uczyć tylko do czerwca, a potem ma się zupełnie wydalić, gdy nie przysięgnie. Więc ma strapienia dosyć ten pan organista, bo musi po madziarsku uczyć dzieci a on zna tylko polskie, niemieckie, łacińskie i słowackie i na pół węgrzyć nauczył się po madziarsku. Ale mówił mi, że chociażby tysiące dawali, to nie będzie przysięgał na Węgry i jeno zawsze chce zostać Polakiem. A tak samo i ja chcę do samej śmierci zostać Polakiem i dzieci moje na dalsze czasy chcę wychować na Polaków. To też ja *każdy fałatek* (kawałek) *polskiego druku tak szanuję i cieszę się nim, jakobym miał stotysięcy.* Więc mi się już uzbierało więcej jak 150 książek, to się w nich cieszę i czytam i dzieciom opowiadam jak się co kiedy stało w Polsce, i jakie obyczaje od dawna istniały i jaki który król był, czy dbał o Polskę, i jakie wojny stały od lat tysiąca.

Oto list rymowany:

„Kochana Redakcyo! Upraszam ich pięknie,
Bo od bólu serce moje dobrze mi nie pęknie,
Bo mamy wielki smutek na Spiżu, w Landoku.
Wesołość nam trzymała tam prawie pół roku,
A teraz zaś zasmutek (smutek) ma każdy na dworze,
Przeto z wielką pokorą podaję do „Zorzy“
Bo gdy ja list mój w „Zorzy“ czytam trakowany,
Tak se wzdycham do Boga: Boże mój kochany!
Nie miałem ja pisać, aż twardo w jesieni,
Lecz za parę miesięcy rozmaicie się zmieni.
To też się nam zmieniło każdemu w Landoku
I już nam nie tak wesoło jak łońskiego roku.
Mieliśmy organistę bardzo wesołego:
Grał dobrze na organach, wrze coś śmiesznego
Z ust mu wyleciało, co się wszyscy śmiali,
Za stotysięcy dukatów my go nie dali.
Mnie też serce zasmutniało,
Czuję się do żalu,
Gdy światełko zgasło, co z ciemności wielu
Swoim błogim promykiem mnie wyswobadzało
I łaskawem serduszkiem rączkę podawało

Lecz na pierwszego sierpnia poszeł sam z Landoku,
Wszyscy się zasmucili, każdy miał łzę w oku
Ach smutna moja chwila, oczy łzą zalane,
Gdy mi już nie powróci światełko kochane.
Poszedłem do kościoła na pierwszą niedzielę,
Nie miałem wesołości, tylko smutku wiele,
Bo organ stał cichutko, ani nie śpiewali,
Tylko wszyscy ludzie od żalu szlochali,
Bo wszędzie we wsi tak to uradzili,
Żeby kościelnicy świeczek nie świecili,
Bo ksiądz winowaty, on go wypowiedział,
Żeby organista w Landoku nie siedział.
Za to cała parafia na księdza się gniewa,
Ani teraz w kościele żaden nie zaśpiewa,
Tylko wszyscy ludzie oczy ocierają,
Na księdza przy ołtarzu bokiem spozierają“.

Rymy wprawdzie bardzo częstochowskie, lecz mimo to dziwić się trzeba, że samouk *„kocirz“* na narodowo opuszczonym Spiżu zdolny jest to napisać. Z listów jego wogóle wionie rozczulające wrażenie. Widać z nich jak gorąco lud polski na Węgrzech pragnie oświaty narodowej, której mu brak zupełny.

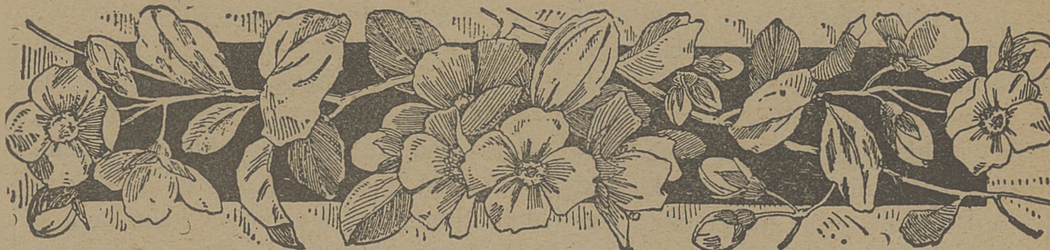
„Kocirz“ landocki stanowi jednak co do uświadomienia narodowego rzadki wyjątek pomiędzy górno-węgierską polską ludnością, której wogóle brak tego uświadomienia. Podczas moich kilkakrotnych wycieczek na Górne Węgry w okolice polskie rozmawiałem w różnych miejscach z ludźmi po polsku, od których prawie zawsze otrzymywałem na pytanie, jakim mówią językiem? — stereotypową odpowiedź: *„po naszemu“*. Mówią po polsku, lecz o tem nawet nie wiedzą. Czy takie zjawisko nie jest wstydem dla narodu polskiego?

Przedstawiłem w zarysie stan naszego narodowego posiadania na Słowaczyźnie górno-węgierskiej jako też bezbrzeżną niedolę, w jakiej tam ludność polska żyje.

Oby słowa moje nie przebrzmiały bez skutku w pustyni naszej ospałości i opieszałości, lecz trafiły do serca polskiego i rozumu.

Fala ludzka — tem różna od żywiołu, że rozsypuje się koło ciebie i nie porywa. Gdy się ugniesz, stratuje, ale nie weźmie na ręce i nie poniesie do cudzego przeznaczenia. Każdy w sobie nosi swoje.

Zygmunt Wasilewski.



Fryderyk Szopen.

(Dokończenie).

Zbliżała się jesień, Szopen nietylko kaszlał i dusił się, ale i nogi zaczęły mu puchnąć. Dnia 15-go października począł tracić głos. Prócz kilku uczennic, była przy nim prawie ciągle księżna Marcelina Czartoryska. Pani Sand chciała go także odwiedzić, ale jej nie dopuszczono, lękając się zbyt silnego wzruszenia. Tegoż dnia przyjechała z Nizzy przyjaciółka Szopena, a przez pewien czas rywalka pani Sand, Delfina Potocka. Dopuszczono ją; on ucieszył się niezmiernie i prosił, aby mu co zaśpiewała. Nie mogła odmówić umierającemu.

Wsunięto z drugiego pokoju fortepian, a Delfina Potocka drżącym ze wzruszenia głosem zaśpiewała aryę Belliniego z „Beatrice di Tenda.“

Tegoż dnia polecił Szopen siostrze, która była przy nim, aby spaliła wszystkie jego papiery i wszystkie kompozycye, które uzna za gorsze. Potem rozmawiał ze wszystkimi obecnymi uprzejmie i żegnał się, jak przed podróżą. Miał świadomość, że zbliża się śmierć, ale patrzał jej w oczy spokojnie.

W nocy z 16-go października cierpiał bardzo. Rano polepszyło mu się. „To źle, mówił, bo mnie to przywiązuje do życia, a powinienem się od niego odrywać.“ A potem zwracając się do obecnych przyjaciół, rzekł z wyrazem bolesnej tęsknoty: „Będziecie grywać na moją pamiątkę, a ja was będę ztamtąd słyszał.“ „Będziemy grywali twoją sonatę“ — rzekł Franchomme. „O nie, nie moją, odrzekł, grajcie sobie Mozarta na moją pamiątkę.“ Tegoż dnia, po długim oporze wyspowiadał się przed ks. Jełowickim, przyjacielem z lat dziecinnych, przyjął św. Sakramenta, a ochłonąwszy ze wzruszenia, odezwał się z uczuciem wdzięczności do swego spowiednika: „Bez ciebie, mój drogi, byłbym zdechł, jak bydlę.“ Potem żegnał się ze wszystkimi, a widząc płaczących mówił spokojnie: „Dobrze mi, że tak umieram. Siostro moja kochana nie płacz. Módlcie się za mnie. Do widzenia, tam w górze.“

W nocy zaczęło się konanie. Leżąc na wznak konający charczał. Po północy zażądał wody z winem. Potem stracił przytomność i już jej nie odzyskał. Umarł między drugą a trzecią w nocy.

Pogrzeb odbył się dnia 30-go października. Towarzyszyły mu do grobu dźwięki jego marsza pogrzebowego i „Requiem“ Mozarta, a podczas nabożeństwa żałobnego grano na organach jego dwa preludya „E-moll“ i „H-moll.“

Nad grobem nie było żadnej mowy, tylko na trumnę, gdy ją spuszczono do dołu, wsypano garść ojczystej ziemi, tę samą, którą przed dwudziestu laty wyjeżdżającemu z kraju, dali w srebrnej czarze przyjaciele.

Serce Szopena przywieziono w urnie do Warszawy, gdzie spoczywa wmurowane w ścianę kościoła św. Krzyża.

. . . .

Na pytanie, jakie jest stanowisko Szopena wśród muzyków europejskich, tak odpowiada Franciszek Liszt, wyznaczający Szopenowi „jedno z najzaszczytniejszych miejsc w dziejach sztuki“:

„Rozpatrując się systematycznie we wszystkich pracach Szopena, znajdujemy w nich piękności dziwnie podniosłego stylu, ekspresyi zupełnie nowej połączeń harmonicznych tyleż samodzielnych, ile głęboko bardzo pomyślanych. Śmiałość zawsze jest u niego usprawiedliwiona; bogactwo, nadmiar nawet, nie wyłączając jasności; odrębność nie przechodzi nigdy w dziwactwo; zbytek zaś ozdób nie przeładowywa nigdy wykwintu zasadniczych rysów. Pierwszorzędne jego utwory obfitują w kombinacye, stanowiące, rzec można, epokę w dziejach muzycznego stylu... Jemu zawdzięczamy owo rozszerzenie użycia akordów, w najrozmaitszem ich zastosowaniu i rodzajach uderzeń; jemu również

liczne węzłowania chromatyczne i euharmoniczne, których u niego tyle uderzających przykładów; jemu nareszcie — te drobne zastępy nut dodatkowych, unoszące się niby pryzmatyczna kurzawa kropel rosy po nad głównym śpiewem. Dał on temu rodzajowi ozdoby, jakich pierwowzoru szukaćby chyba w fiorytarach starej szkoły włoskiej, powaby niezwykłości i urozmaicenia, którym już nie podoła głos ludzki, niewolniczo wprzódy przewagę swoją fortepianowi narzucający w upiększeniach, dziś już zużytych i monotonno - stereotypowych. On także jest wynalazcą owych progresyj harmonicznych, które charakterem powagi nacechowały nawet karty, pozornie, dzięki lekkości swego przedmiotu, nie mogące sobie rościć do tego prawa.“

Po tem zdaniu Liszta, najgenialniejszego wirtuoza fortepianowego, jakiego wydała pierwsza połowa zeszłego wieku, godzi się przytoczyć opinię Antoniego Rubinsteina, który, jako najświetniejszy fortepianista drugiej połowy XIX. stulecia, tak się wyraża o Szopenie w swej książce o „Muzyce i jej przedstawicielach:“ „Jeżeli wszyscy wielcy muzycy oddawali najpiękniejszą cząstkę swej duszy fortepianowi, to geniuszem tego instrumentu jest niezaprzeczenie Szopen. Czy fortepian tchnął w Szopena swą duszę, czy dusza Szopena przejęła się fortepianem, nie wiem, ale dzieła jego mogły powstać tylko przez ścisłe zespolenie się twórcy z klawikordem. Tragiczność, romantyczność, liryka, heroizm, dramat fantazya, serdeczność, marzenie, blask, wielkość, prostota, wszelkie możliwe odcienia, znajdujemy w utworach fortepianowych Szopena, i to w najwykwintniejszej formie.“

Preludya, to perły całej twórczości, większość Etiud i Nokturnów, Polonezy Es-moll, Cis-moll, Fis-moll, As-dur, a szczególniej A-dur i C-moll, z których pierwszy jest obrazem tryumfu, drugi — upadku kraju, następnie cztery Ballady, Scherzo-H-moll i B-moll, Sonaty H-moll i B-moll, wszystko to są, zdaniem Rubinsteina, arcydzieła, nad które piękniejszych nie podobna wskazać w całej literaturze fortepianowej. Np. Sonata H-moll, to cały dramat. Po Marszu żałobnym, o uczuciu skupionem i charakterze lirycznym, następuje część ostatnia, która jest jak nocny powiew wichru po cmentarnych grobach. Nakoniec przychodzą Mazurki! Pod względem muzykalnym, ile piękności w pomysłach, co za doskonałość techniki i formy, jak ciekawe i nowe szczegóły harmoniczne. A często jaka wielkość!“ Szopen, zdaniem twórcy „Demona“, należy do szczupłej liczby tych, co nie mają poprzedników, przyczem zasługuje na uwagę także i z tego względu, że jest jedynym twórcą, który, poznawszy istotę swego talentu, nie sprzeniewierzył się jemu i, oprócz kilku pieśni, innych rodzajów nie próbował uprawiać. Wogóle, jest on „duszą“ fortepianu, którego nie można nie ubóstwiać... Kończy on też — według Rubinsteina — trzecią epokę sztuki muzycznej. Na czele pierwszej, która była epoką organu i śpiewu, stoi Palestrina. Największymi jej przedstawicielami byli Bach i Haendel. Godnie ją też wieńczą.

Druga epoka, instrumentalna, była epoką rozwoju fortepianu i orkiestry. Zaczyna się ona od Filipa Emanuela Bacha, kończy zaś na Beethovenie, który jest jej przedstawicielem, oraz obejmuje Haydna i Mozarta.

Trzecią epokę, liryczno-romantyczną, otwiera Schubert, dalszy ciąg stanowią Weber, Schumann, a uwieńczeniem jej jest Szopen.

W. L.



Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

B. VII.

Dlaczego wody nasze nie zamarzają do dna?

Woda, która tak ważną, jak wiemy, odgrywa rolę nietylko w życiu stworzeń, lecz i w nieorganicznym świecie, ciekawe wykazuje pod niejednym względem właściwości. Pod fizykalnym względem przedstawia ona nam się tak, jak większa część innych ciał, pod trzema postaciami, jako stały lód (lub śnieg), jako płynna woda, i jako para wodna, a więc gaz. Stan skupienia zależny jest, jak to i gdzieindziej się dzieje, od temperatury czyli ciepłoty otoczenia oraz od ciśnienia powietrza. Im niższa temperatura i niższe ciśnienie, tem łatwiej przechodzi woda w stan skupienia stały tj. przechodzi w lód, a im wyżej temperaturę oraz ciśnienie otaczającego lód powietrza podniesiemy, tem łatwiej lód zamienia się w wodę. Podczas gdy jednak przy tem przejściu ze stanu skupienia stałego w płynny i odwrotnie ciśnienie i wobec temperatury małą tylko odgrywa rolę, to przy przejściu ze stanu skupienia płynnego na gazowy bardzo wiele właśnie od ciśnienia zależy. Stosunki mają się tu tak, że im wyżej podniesiemy ciepłotę wody lub zamiast tego im więcej zniżymy ciśnienie, tym szybciej woda cała przemienia się w parę, a im więcej temperaturę pary obniżymy lub też ciśnienie tej samej pary podniesiemy, tem łatwiej przeprowadzamy ją w stan płynny skupienia, tj. zamieniamy ją z powrotem na wodę. Ciśnienie atmosfery odgrywa przy tem przejściu tak wybitną rolę, że wodę, która w zwyczajnych warunkach (tj. przy stanie barometra 760 mm.) gotuje się tj. całkowicie przechodzi w parę przy 100 stopniach Celziusza, można przez zmniejszenie ciśnienia doprowadzić do tego zjawiska już przy znacznie niższej ciepłocie. Na górze Mont-Blanc więc, gdzie ciśnienie powietrza wynosi niemal połowę tylko zwykłego tj. 400 mm., woda gotuje się już przy 60 i kilku stopniach Celziusza. Przeciwnie znów, im wyższemu ciśnieniu woda podlega, tem wyżej trzeba ją zagrzewać, aby ją przeprowadzić w parę tj. zagotować .Dotąd nie stanowi woda pod względem fizykalnym żadnej zasadniczej różnicy w pośród mnóstwa płynów, jakie znamy, jak kwasów, alkoholu, eteru itd. Pod jednym atoli względem, który dla przyrody naszej niezmiernej jest doniosłości, woda zupełnie inaczej się zachowuje, niż wszelkie inne płyny, znane chemikom i fizykom. Otóż podczas gdy wszystkie inne ciała przy oziębieniu zyskują na wadze, tj. stają się cięższe czyli gęstsze i czynią to także, przechodząc w stan skupienia stały (przy marznięciu), woda cięższeje tylko do pewnej granicy, a mianowicie do 4 stopni Celziusza, przy której to ciepłocie woda jest najcięższa czyli najwięcej skupiona albo ściśnięta. Przy dalszem oziębianiu, od 4 stopni do 0, nie staje się już woda cięższą, jak to czynią inne ciecze, lecz lżejszą, a lód, w który woda ostatecznie przy „punkcie zamarzania“ (t. zn. 0 stopni) przechodzi, jest lżejszy jak woda, mająca około 4 stopni ciepła. Fakt ten na pozór taki prosty ma ogromnie doniosłe znaczenie w naszem życiu praktycznem i tłomaczy nam jasno znane każdemu zjawisko, dlaczego wody nasze, a więc morza, jeziora, stawy i rzeki nie zamarzają zimą choćby przy najtęższym mrozie do dna. Polega bowiem to dziwne a tak ważne dla całego życia naszego zjawisko tylko na tej dopiero co rozważanej wyjątkowej właściwości wody, że przy oziębianiu, a więc przy przejściu w lód, zamiast cięższeć, staje się to samo ciało lżejszem. Gdy więc dostajemy mróz, opadają wierzchnie warstwy naszych wód, po przyjęciu

temperatury 4 stopni ciepła, ustawicznie na dno (jako najcięższe), lecz skoro się przez to krążenie wody ciepłota w zbiorniku wody wyrówna i wszędzie już wynosi równo 4 stopnie, wtenczas wierzchnia warstwa, która dalej się oziębia, nie staje się już cięższą (gdyż właśnie woda przy 4 stopniach jest najcięższą) tylko lżejszą. Może więc ta wierzchnia warstwa oziębić się w dalszym ciągu aż do 0 t. zn. przejść w lód, lecz nie opadnie ona już na dno, tak samo jak i lód po utworzeniu się lżejszy od wody, z której powstał (gdyż większą zajmujący od niej przestrzeń) już nie zanurza, tylko pływa po wierzchu. Ponieważ zaś woda jest w przeciwstawieniu np. do metali złym przewodnikiem ciepła, dlatego lód chroni niższe pokłady wody od zamarzania, i dlatego lód bardzo trudno tworzy się w grubszych warstwach, a przy nieco większej głębokości (ok. 1 metra) wody nigdy prawie w naszych warunkach, gdzie mróz zimą tylko rzadko do 20 stopni dochodzi, do dna nie wymarzają. Jeśli więc rozważymy, jak wyjątkową woda wykazuje właściwość, i jakby źle na świecie było, gdyby woda na wzór wszystkich innych znanych płynów przy zamarzaniu gęstniała i na dno opadała jako lód, lub gdyby zamiast wody inny jaki płyn istniał w naszych rzekach i jeziorach, z których każdy by przy zniżonej temperaturze do dna wymarzał, zrozumiemy, jak wielkiej doniosłości właśnie woda jest dla nas. Inaczej bowiem wszystka otaczająca nas woda musiałaby zimą wymarzać, a ryby i inne stworzenia w wodzie żyjące wyginęłyby doszczętnie. Lecz nie na tem jednem zjawisku ogranicza się doniosły wpływ dziwnej właściwości wody, stawania się przy marznięciu lżejszą t. zn., co na jedno wychodzi, powiększania swej objętości. Pękanie skał n. p., które w górach w tak olbrzymich rozmiarach zim. porą się odbywa, polega także wyłącznie tylko na rozszerzaniu objętości drobnych kropelek wody, wsiąkłych w szczeliny skał. Siła, z jaką rozsadzanie skał przez zamarzanie tych drobnych ilości wody się odbywa, jest tak wielką, że przypomina nam żywo huk armatni. Proste doświadczenie poucza każdego o tem naocznie, kto nie przekonał się naocznie o sile rozsadzającej zamarzającej wody. Otóż butelka napełniona wodą o 4 stopniach i zupełnie szczelnie zatkana korkiem, pęka przy wystawieniu na mróz z ogłuszającym hukiem na sposób bomby. — Zjawisko zaś, że morza nietylko do dna nie zamarzają, ale często i wśród dość tęgich już mrozów nawet powłoką lodu się nie pokrywają, ma nieco odmienny powód od dopiero co rozpatrywanego. Otóż woda morska nie jest tak czystą (słodką) wodą, jak ją znamy z naszych jezior i rzek, lecz przedstawia ona nam się jako woda słona, której zawartość soli zazwyczaj waha się około 3 procent Ten mały stopień soli, wystarczający jednak, aby wodę morską uczynić niezdatną do picia, wystarcza też, aby obniżyć temperaturę zamarzania wody o kilka stopni, także woda morska znacznie trudniej zamarza niż słodka (może się o tem każdy przekonać, stawiając naczynie z wodą, w którą wsypano nieco soli, na mróz). W ten sposób możemy sobie wytłómaczyć, dlaczego morza w naszych okolicach nie zamarzają prawie wcale, tylko pod biegunami, gdzie ciepłota zimą znacznie niżej spada, niż u nas.



Ruch kobiecy w krajach mohametańskich

Od czasu, gdy pewna część mohametańskiej inteligencyi opanowana przez modernistyczne zapatrywania, starała się przebudzić świat islamski z apatyi, aby go pchnąć na nowe tory społeczne i polityczne, musiano przedewszystkiem zwrócić uwagę na niegodne stanowisko, jakie kobieta mohametańska zajmuje. Nie potrzeba było się wielce zastanawiać, aby dojść do wniosku, że najważniejszym warunkiem postępu jest uwolnienie Mahometanki z jej dotychczasowego zaniedbanego stanu, tak pod względem duchowym jak moralnym, i podniesienia jej na poziom równouprawnionej małżonki i matki zdolnej dobrze wychować swe dzieci. Również jasno przedstawiały się trudności, które się przeciwstawiały tym nowatorstwom. Nietylko w wielożeństwie przez religię dozwolonem leży cała trudność ruchu kobiet Mahometanek. Wielożeństwo bowiem jest mniej, jak sądzimy, rozpowszechnione między Mahometanami. Wskutek ubóstwa i obyczajów szczepowych większa część ludności żyje w monogamii. Przyczynia się do tego może i ta okoliczność, że mężczyzn jest więcej na Wschodzie niż kobiet, następnie, że zwyczaj kupowania żon jest bardzo rozpowszechniony.

Mężczyźni dobrowolnie zrzekną się wielożeństwa, gdy tylko dojdą do przekonania, że częsta zmiana żon i nowe zawieranie małżeństw, źle wpływa na wychowanie dzieci, że intrygi prowadzone przez rywalki nie przyczyniają się do dobrego domowego pożycia, że nareszcie kobiecie, która z lada przyczyny może każdego czasu z domu być wypędzoną, obojętnym musi być los i pomyślność jej męża.

Obecnie Mahometanki zastanawiają się nad tem, czy kobiety mają prawo wystąpić z samotności haremowej, czy można dopuścić, aby swobodnie chodziły niezawoalowane, aby mogły się kształcić naukowo i jako samodzielne obywatelki narodu czy to w rodzinie, czy też publicznie współpracować, ku ogólnemu dobru. Samotność haremową kobiet i obowiązek noszenia woalu można zaczepić. Ustęp bowiem w Koranie omawiający powyższe szczegóły jest bardzo niejasny. Również rozmaite powagi rozmaicie ten ustęp tłumaczą. Tutaj mógł ruch kobiecy łatwo zahaczyć, bez obawy że się sprzeciwi zasadom religijnym.

Lecz nie tylko przez zazdrość i nieufność kryje Mahometanin swoje kobiety przed obcymi. Powoduje nim także religijny i obyczajowy obowiązek przyzwoitości i honoru rodzinnego, który nakazuje każde, choćby najlżejsze zainteresowanie się obcych ich żonami, wykluczyć.

Wspomnienie o żonach, choćby przelotne tylko w rozmowie z obcymi mężczyznami, jest u Persów np. uważane jako brak poczucia honoru i poszanowania samego siebie. Jeżeli zaś wspomnienie o kobiecie jest nieuniknione, natenczas używają oni ogólnikowego oznaczenia, „nasze dzieci“ lub „nasza rodzina“. Również pytanie się o zdrowie żony, siostry lub córki drugiego, bywa uważane za nietakt i obrazę pytanego. To też żaden Europejczyk na wschodzie nie przeczuwa, jakiemu wzgardliwemu współczuciu podlega u Mahometan, gdy pozwala swej żonie chodzić bez woalu i rozmawiać z obcymi mężczyznami. Takich mężów pomawiają o brak poczucia honoru. Muzułmanin, który nie zna dokładnie europejskich obyczajów, spotkawszy niezawoalowaną europejską kobietę, spuszcza oczy ku ziemi, gdyż spojrzenie w twarz obcej kobiecie uważa za grzech, albo też sądząc według swojego własnego uczucia, za ubliżenie jej mężowi. Uwzględniając te zapatrywania, niektórzy Europejczycy starają się żony swoje trzymać zdala od Mahometan. Takim to mężom przypada w udziale prawdziwe poważanie.

W tych więc warunkach nie można spodziewać się wielkich postępów ruchu kobiecego. Lecz walka przeciw tym przesądom rozpoczęła się z podziwu godną uwagą. W Petersburgu założono przed niedawnym czasem towarzystwo dobroczynne Mahometanek. Takież towarzystwo istnieje już w Baku od kilku

lat. Lecz cele ich nie ograniczają się bynajmniej do spraw wchodzących zazwyczaj w zakres działania podobnych towarzystw. Zwłaszcza w Rosyi znajduje się między Mahometankami dużo wykształconych kobiet, które wychowywały się w mahometańskiem żeńskiem gimnazyum w Baku, lub w rosyjskich zakładach naukowych. Jedna z nich Leili Chanum udała się do Szwajcaryi, aby poświęcić się studyom lekarskim. Na nieszczęście umarła przed ich ukończeniem. „O ile wiemy była to jedyna kobieta, która dla nauki udała się do Europy,“ żali się jedno z tatarskich pism. Postępowe stowarzyszenia kobiet znajdują się także w Soluniu i w Konstantynopolu i to od czasu dokonanej reformy państwowej. Stowarzyszenia te wydawają pisma, i wypracowały bardzo obszerny program celem osiągnięcia obyczajowego, duchowego i materyalnego podniesienia tureckiej kobiety. I w Persyi także nie brakło w ostatnich latach pomyślnych prób łączenia się kobiet, celem polepszenia swego położenia społecznego. Kilka razy już te towarzystwa, a także poszczególne Mahometanki podnosiły głos, aby zwrócić uwagę tak publiczności jak również i miarodajnych sfer na potrzeby mahometańskich kobiet.

Zaś postępowe Mahometanki z Baku wysłały telegram gratulacyjny do izby posłów, z powodu drugiego otwarcia, wyrażając równocześnie nadzieję, że parlament zaopiekuje się także prawami ujarzmionych kobiet muzułmańskich. Komitet perskich kobiet skarży się nawet cesarzowej niemieckiej (w telegramie z dnia 8 lipca 1908 r.) i dowiaduje się od ambasadora niemieckiego w Konstantynopolu, że tenże został upoważniony, wyrazić komitetowi najwyższą sympatyę i oświadczyć, że cesarzowa poruszyła miarodajne sfery, aby spełnić życzenia perskich kobiet. Taragi publikuje pismo pewnej perskiej kobiety z Tebris, w którem pisze: „Teraz starają się u nas (w Persyi) o każdą reformę, wykluczając wykształcenie kobiety. Pamiętajcie bracia, że tylko wykształcenie może wam dać roztropne żony i dobre matki. Koran bowiem nie zakazuje kształcić się kobiecie. Jest czas, aby nam zwrócić prawa i zakładać szkoły dla dziewcząt. Wcale śmiało brzmią słowa jednej uczenicy z Ezaf w Teheranie: „Pomyślność Persyi zależy od gorliwości, z jaką potrafimy się wydźwignąć z naszej nieświadomości.“ Jeden duchowny nawet poparł te dążenia, publikując w indyjskiej gazecie „Indyan Review“ artykuł, w którym dowodzi, że Mahomet przyznał kobiecie równouprawnienie.

Do tej rozprawy nawiązując, pisze znana turecka poetka Fatme Alich: „Pogorszenie socyalnego stanowiska kobiet mahometańskich nastąpiło pod koniec kalifatu Abasydów, mianowicie za czasów kalifa Mugtadyra (909—931). Lecz także później była kobieta lekceważona pod panowaniem Turków, którzy przejęli prawa Abasydów.“

W późniejszych czasach Mahometanki zjednywały sobie sławę tylko w poezyi. I tak w Persyi znaną jest Fatme Sultan (Szahin), której wiersze znalazły uznanie nawet na dworze szacha. W Turcyi zaś znane są wyżej wspomniane Fatme, Alich i Nigar.

Również wielka liczba mężczyzn, którzy odgrywali główną rolę w obaleniu formy rządu w obydwóch islamskich państwach, tj. w Turcyi i Persyi, a teraz znajdują się u steru rządu i w parlamencie zajmują wybitne stanowiska, uznali ważność kwestyi kobiecej i mają w tym względzie najlepsze chęci. Lecz czy byłoby rozsądnie z ich strony, występować otwarcie w tej sprawie, która bądź co bądź nie jest popularną u szerszych kół i przez to narażać tyloma ofiarami okupiony nowy porządek rzeczy? Ta ostrożność jest nakazana i przy obecnym stanie rzeczy pochwały godna.

To też nie można tak bardzo dziwić się nowemu rządowi, że po ukazaniu się kobiet mahometańskich bez woalu, co wywołało zgorszenie, wydał rozporządzenie, że w proklamowanej wolności kobiety nie mają upatrywać, jakoby im wolno było chodzić po ulicach bez woalu. Lecz zdaje się, że przestroga ta niewiele pomogła, gdyż w rozporządzeniu z ostatniego czerwca czytamy:

„Wezwanie publiczne Mahometanek, aby bez woalu nie ukazywały się na ulicy, w kilku przypadkach nie odniosło porządanego skutku... Jeszcze raz więc ostrzegamy i podajemy do wiadomości, że policya ma nakazane, osobę każdej Mahometanki, która wychodzi bez woalu, stwierdzić celem ukarania jej.

Tak samo odmownie w sprawie kwestyi kobiecej zachowało się pierwsze perskie zgromadzenie narodowe. Na jednem z posiedzeń odbytem d. 12 marca 1908 odczytana petycya zjednoczenia perskich kobiet, aby mogły wiec urządzić, spowodowała posłów do następujących uwag:

„Religia nie zakazuje wprawdzie zbierania się kobiet między sobą, kto jednakowoż zna nasze kobiety, ten wie, że szanujące się osoby będą się trzymały zdala od takich zebrań. Mityngi kobiece będą tylko służyły intrygantom jako odpowiedni środek do popierania planów, mających na oku sianie niezgody i niepokoju. Zresztą zebranie narodowe nie jest odpowiednią instancyą w tej sprawie, której roztrząsanie należy pozostawić gazetom.“

Juljuszowi Słowackiemu

w 61 rocznicę zgonu 3-go kwietnia.

(Wyjątek z poematu „Duchy“).

Gdy blaski wiosny życie rozsnuwały
W łonie natury, świeże i promienne —
Rozkoszą istnień chorał dźwięków cały
Budził z martwoty zstygłe duchy senne;
— Ty Duch Królewski, Mistrz wielki, dostojny, —
Śpiewny harmonii ton, chórów Przyrody,
— Gasnąłeś bladą skroń oparłszy znojny
— Na druha piersi — lotny orle młody!
Cudne Twe oczy mgłami się słoniły
A wdzięczne usta słały hymny Bogu —
I jak kwiat biały, co aniołom miły —
W mrocznej wieczności tak stanąłeś progu.
Tam to hetmaństwo odebrałeś z Pana
Sprawiedliwości i Jego Wszechmocy;
— Ściszona lutnia wstała rozśpiewana
Budząc swój naród, zstygły w bólu mocy...
Druch Twój rozpaczą po Tobie targany
Długo łez swoich nie ścierał z powieki;
Aż dziś duch jego, z krainy świetlanej
Widzi Twój tryumf — jak wezbrane rzeki! —

Berlin, w kwietniu 1910 r.
Anna Eugenia Piechowska-Monstern.

Niech drzemią róże!

Niech drzemią róże we dnie i w nocy,
Na cóż im wabić krasą i wonią?
Przyjdzie przechodzień jakiś nieznany,
I zerwie kwiecie niebaczną dłonią!
A kiedy zwiędnie — nęcić przestanie —
Bez odrobiny żalu porzuci,
I pójdzie dalej znów róże zrywać,
Za tą, co zwiędła — ni się obróci!
O drzemcie róże! chyba wieczorem,
Roztoczcie blasków waszych piękności,
Gdzie was wzrok ludzki nie sprofanuje,
Gwiazdy obejmą wzrokiem miłości!
Lecz gdy z was którą do piersi tuli,
Ten, co was jako talizman nosi,
Otwórzcie waszych wdzięków skarbnice,
Bo on przy zgonie waszym łzy rosi. —
I lżej wam wtedy będzie umierać,
Porzucać świata złudnego czary,
Listek po listku z wiatrem uleci,
Gdzie już życiowe nie zwodzą mary!
O drzemcie róże na wonnym krzaku,
Kolce nie zranią serc ostrzem swojem,
Tylko je jeden człowiek bezduszny,
Krzyżować umie... biorąc przebojem...

Marja Paruszewska.
Poznań, 26. III. 1910.



W setną szesnastą rocznicę.

Dnia 24 marca święciliśmy wielką wiekopomną rocznicę.

Dnia tego w roku bieżącym upłynęło lat sto szesnaście od chwili, gdy na rynku krakowskim przysiągł narodowi Tadeusz Kościuszko, iż powierzonym mu orężem wypędzi z Polski jej wrogów, albo sam na nim padnie, a tchnąwszy w serca narodu nadzieję, zapał i męstwo, powiódł go w bój krwawy, a święty.

Tadeusz Kościuszko, stając na czele narodu, wytknął sobie dwa cele: obronienie niepodległości Rzeczypospolitej i zreformowanie jej społeczne, przez uwolnienie ludu od pańszczyzny i zbratanie wszystkich stanów.

Lud uwolniony miał obronić wolność i niepodległość Ojczyzny — Ojczyzna przez lud ocalona, przycisnąć go do macierzystej piersi i porównać z rycerskim stanem.

Początek drogi do tych celów był świetny. Na polach Racławic lud rolny udowodnił, iż godzien jest tarczy rycerskiej. Tego samego dowiedli w dniach 17 i 18 kwietnia 1794 roku mieszczanie stolicy Polski, Warszawy, wypędzając z niej Moskali.

Obok szlachcica Kościuszki, zajaśniały w aureoli chwały imiona: chłopa Wojciecha Bartosza Głowackiego i mieszczanina, szewca bohatera, Jana Kilińskiego.

Ta trójca, to żywy sztandar nowej Kościuszkowskiej Polski, nieznającej żadnej różnicy stanów, lecz równą miłością ogarniającej wszystkie swe dzieci.

Bój tak świetnie zaczęty, pomimo mistrzowskiej obrony Warszawy, obrony, zakończonej tryumfem Kościuszki nad sprzymierzonemi armiami dwóch najpotężniejszych wówczas państw Europy i mimo zwycięskiej wyprawy genialnego Dąbrowskiego do Wielkopolski, skończył się wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, klęską na polach Maciejowic. Kościuszko padając na nich, w dniu 10 października 1794 r., ciężko raniony, dotrzymał wiernie złożonej przysięgi, a jeżeli nie ocalił Rzeczypospolitej od upadku, to przecież ochronił ją od hańby.

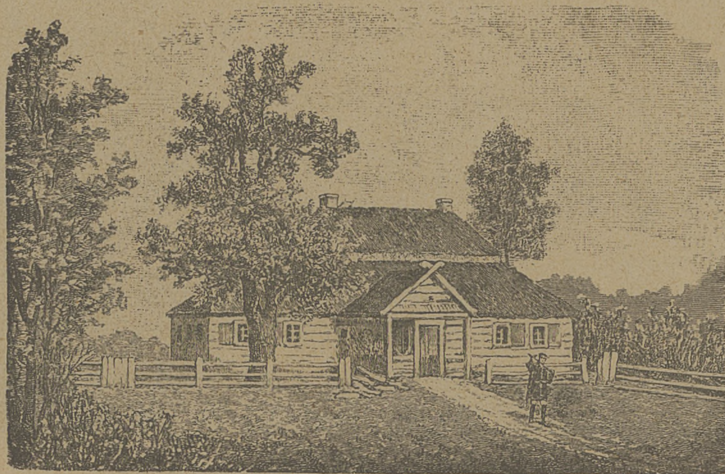
Bez powstania Kościuszki, Rzeczpospolita byłaby poszła w jarzmo wrogów jak nędzna, pogardy godna niewolnica, a naród polski byłby zatracił na długo, na całe wieki może, poczucie swego ja i bez szemrania poddał się najezdnikom.

Kościuszko błyskiem miecza swego ocucił go, a upadek jego ozdobił aureolą chwały.

Krew sześciu tysięcy bohaterów, którzy na polach Maciejowic stanęli przeciw wrogom niezłomnym murem i padli, krokiem przed nimi nie ustąpiwszy, zmyła hańbę upadku — zgliszcza Pragi wyryły w sercach narodu niezatartą zemstę, a świetny dzień Racławic wskazał mu drogę braterstwa, miłości i sprawiedliwości, to też im dłużej trwała niewola, tem bardziej rosły szeregi obrońców Ojczyzny. Przed 60 laty zniesiono pańszczyznę w Galicyi, po ostatniem powstaniu 1863 i 4 roku zniesiono ją i w Królestwie Polskiem. Odtąd chłop stał się takim samym obywatelem kraju, jak i każdy inny. Odtąd z równemi prawami spadły na rzeszę chłopską i równe obowiązki. Dawniej możliwem było zwalanie obowiązku bronienia Ojczyzny na szlachtę i możnych, bo oni od tej Ojczyzny więcej brali, bo większe posiadali prawa. Wtedy mogli chłopi kochać Polskę „połową tylko duszy“. Dziś już tego nie wolno im czynić.

„Kochać Polskę nie połową, ale całą duszą“ — wołał do chłopów kosynierów Kościuszko i miał słuszność. On podniósł chłopa do godności obywatela, on dał mu prawa, więc miał prawo domagać się, aby tę wspólną Matkę całą duszą kochano.

Głos jego dotąd rozlega się po wszystkich ziemiach Polski. „Kochaj Polskę duszą całą — to Twoje przykazanie, broń jej i osłaniaj silną dłonią twoją, chroń piersią swoją“ — zdają się mówić do nas z poza grobu w rocznicę bitwy Racławickiej cienie Kościuszki i Głowackiego. „Pamiętaj, chłopie polski, że to ty masz dokonać wielkiego dzieła wskrzeszenia wolnej i niepodległej Polski, że masz uzyskać to, czegośmy zdobyć nie zdołali. Myśmy życie swoje i krew Ojczyźnie oddali, ty, chłopie polski, pracą swoją i miłością masz jej wolność i szczęście powrócić.



Dwór Kościuszków w Mereczowszczyźnie, w którym się urodził Tadeusz Kościuszko.



.. Józef Chociszewski.

Bitwa pod Racławicami.

Kościuszko wiedział, że mu przyjdzie toczyć ciężkie walki z wrogami, dokładał zatem usilnych starań, aby zebrać znaczne wojsko i wprawić je do boju. Zaczęli się zbierać do Krakowa ochotnicy i rekruci, a szczególnie włościanie krakowscy. Brakło broni, przeto zostali uzbrojeni w kosy i piki. Nazwano ich kosynierami, bo wyłączną ich broń stanowiła kosa, która się dała nieraz w znaki wrogom Polski.

D. 1 kwietnia 1794 r. wyruszył Naczelnik z Krakowa. Mała jego armia składała się z 2000 ludzi, tj. około 1000 piechoty, 500 jazdy i 500 kosynierów. W czasie pochodu połączyły się z nim oddziały konne Madalińskiego i Manżeta, przybywali także wieśniacy.

Dnia 4 kwietnia 1794 r. zaszła pamiętna bitwa pod Racławicami, która choć była właściwie małą potyczką, zażywa jednak wielkiego w dziejach naszych znaczenia. Drogie jesteście sercu polskiemu Racławice, gdyż tu po długich latach pierwszy raz włościanie polscy stanęli śmiało do boju z wrogami Ojczyzny, odnosząc świetne zwycięstwo, a że w ludzie wiejskim spoczywa nadzieja zbawienia, przeto bitwa racławicka pozostanie na zawsze pamiętną, bo tu polscy włościanie przyjęli niejako krwawy chrzest na obrońców Ojczyzny.

Pod Racławicami spostrzegli Polacy nadciągających Moskali pod dowództwem jenerała Tormansowa. Wojsko nieprzyjacielskie liczyło przeszło 6000 dobrze wyćwiczonych żołnierzy i 20 armat, a polskie 11 lichych armat i 4000 ludzi, z tych połowa była uzbrojona tylko w kosy, piki i siekiery. Pierwsi Moskale uderzyli, a natarcie ich było tak silne, że polskie zastępy chwiać się zaczęły. Trzy razy uderzyli Madaliński i Zajączek na czele kawaleryi, a trzy razy byli odparci. Część polskiej jazdy ustąpiła z placu boju. Moskale idą śmiało naprzód, ale wnet cofnęli się, gdyż strzelcy polscy, ukryci w lasku, powitali ich celnemi strzałami. Wtedy Naczelnik stanął na czele kosynierów i rozproszył środkową kolumnę moskiewską.

Pozostawało jeszcze prawe skrzydło nieprzyjacielskie nietknięte. Moskale śmiało idą, lekceważąc sobie polskich powstańców. Armaty moskiewskie raziły dotkliwie naszych. Kościuszko zbiera po raz drugi kosynierów, zasłania ich z tyłu piechotą, aby snać nie chcieli uciekać, a potem przemówiwszy do nich serdecznie: „Dalej chłopcy, wziąć te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara!“ rzuca się śmiało do boju. Chłopi krakowscy poskoczyli pędem, trzymając w ręku kosy, które krwawo błyszczały, oblane światłem zachodzącego słońca. Tylko dwa razy zdołali Moskale dać z armat ognia, gdyż wnet dognali ich kosynierzy, rąbiąc bez litości. Straszna rzeź się zaczęła, szczęk kos daleko się rozlegał, rzucając postrach w szeregi nieprzyjacielskie. Najdzielniej się odznaczyli wieśniacy Bartosz Głowacki z Rzędowic i Stach Świstacki, którzy pierwsi stanęli przed armatami i własnemi czapkami zakryli zapały, tak że kanonierzy moskiewscy już nie zdołali wystrzelić. Jeden z nich położył się na swej armacie, mówiąc: „Och! ne puszczucia swojej matuszki!“ W tem krzyknie kosynier Swistacki: „Obaczymy, czy puścisz lub nie!“ i ciął silnie, a cięcie było tak potężne, że Moskal został na dwoje rozpłatany. To dzielne natarcie kosynierów, a mianowicie owych dwóch „ludowych rycerzy,“ jak ich zowie L. Wegner, zmusiło Moskali do ucieczki. Zachodzące słońce powitało Polaków, jako zwycięzców. Padło 600 Rosyan trupem, 12 ich armat i jedna chorągiew dostała się w nasze ręce; Polacy mieli 150 zabitych i 200 rannych.

Kościuszko ogłosił narodowi polskiemu o zwycięztwie raport, w którym czytamy: „Narodzie podnieś ducha twojej odwagi i twego obywatelstwa,“ a w końcu: „Racz poczuć narodzie twą siłę, dobądź jej całkowitej, chciej być wolnym i niepodległym; jednością i odwagą dojdziesz do tego szanownego celu!“

Bartosz Głowacki został za waleczność mianowany chorążym, to jest porucznikiem grenadyerów krakowskich.

Teofil Lenartowicz napisał piękny wiersz o bitwie racławickiej, gdzie się znajduje następny prześliczny ustęp:

Komu Pan Bóg błogosławi,
Temu się i wiedzie,
Idzie sobie Stach Świstacki,
A Głowacki jedzie,
Jedzie, jedzie na armacie
Na smoku mosiężnym,
Czapką wiewa, a lud śpiewa,
Głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdąsana;
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzna kochana!



Dwór Kościuszków w Siechanowicach.
Siechanowice, rodzinna wieś Kościuszków, położone są niedaleko Brześcia litewskiego, w okolicy, gdzie od wieków blizko siebie mieszkali Polacy, Litwini i Rusini pod rządem królów polskich.



Janina z Z... Ł.

RACŁAWICE.

(Wspomnienie historyczne).

Racławice! Racławice!
Okrzyk bieży w dal...
Rzućmy żony i dziewice
I niewczesny żal!

Weźmy kosy — weźmy piki
Wolność — albo skon!
Bieżą echem te okrzyki
Od pługów i broń.

Czas już zrzucić Moskwy pęta
W gnieździe naszem wróg,
Lećmy śmiało jak orlęta,
Niech nas wiedzie Bóg!

Walka będzie tak zaciekłą,
Że aż zadrży świat!
Że się zdziwi niebo, piekło,
Ludzie przyszłych lat!

Każde serce żywo bije,
Wiej wietrzyku, wiej!
Powiedz światu, Polska żyje!
Żyje w chwale swej!

Racławice! Racławice!
Bieży w dal ten głos...
Płaczą matki i dziewice,
Słychać podźwięk kos.

Starzec syna błogosławi,
Zażegnuje grom;
Matka z cicha oko łzawi,
W smutku cały dom.

Dziewczę żegna się z kochankiem —
Swego szczęścia kłos
Składa dzisiaj z ślubnym wiankiem
Na ofiarny stos!

Biegnie młodzież na plac boju
Po sławę i mir,
A kraj cały w niepokoju
Przywdział smutku kir!

Już pobiegli — już ich nie ma —
Cisza, ból i łzy,
Tylko ziemia ich rodzima
Głuchem echem drży!



Racławice.
Dalej chłopcy! wziąć te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara!



Jadwiga Olszewska.

Kiedy ludzkość pozna to wszystko?

(Prawie fantazya).

Często, gdy czytamy jakieś czarodziejskie baśnie, myślimy sobie: jakie to dziwne? jak nieokiełznaną fantazyę musiał mieć ten, kto wymyślił rzeczy tak cudowne i nieprawdopodobne.

Ale gdy czytamy prace naukowe, to dowiadujemy się ze zdziwieniem, że rzeczywistość, która nas otacza, jest nieskończenie cudowniejszą, bardziej nieprawdopodobną i fantastyczną, niż czarodziejskie baśnie Wschodu.

Czyż jest, naprzykład, podobna do wiary myśl,że my z tą naszą ziemią lecimy i lecimy nieustannie pomiędzy gwiazdami w przestrzeń bez końca, z szybkością trzech mil na sekundę, to znaczy siedmdziesiąt pięć razy szybciej, niż leci wystrzelona kula armatnia?...

Lecimy tak zawsze, bez chwili wypoczynku, bez zatrzymania się bodajże na jedno mgnienie oka, lecimy wciąż dalej, dalej i dalej...

I kiedy usypiamy strudzeni — nie pozostajemy w spokoju i nieruchomości, bo wtedy pędzimy ciągle unoszeni przez kulę ziemską — w otchłań bezdenną.

I kiedy jedziemy koleją, nie odbywamy jednej tylko podróży, lecz dwie podróże naraz; wraz z pociągiem przesuwamy się powolutku po powierzchni drobnej planety naszej, o piątą część mili na minutę, a równocześnie, w tejże samej minucie przesuwamy się wraz z globem ziemskim w przestrzeni między gwiazdami i planetami o 180 mil.

Cokolwiekbądź czynimy, jakimkolwiekbądź sprawom życiowym — wesołym czy smutnym, oddajemy się w danej chwili — planeta, do której jesteśmy przykuci, leci z nami w dal, niby ptak tajemniczy... I wysiłek całej ludzkości nie zdoła tego biegu zatrzymać ani na jedną sekundę!

Ani na jedną sekundę nie zdołamy spuścić lub przyspieszyć tej wieczystej ucieczki ziemi, wieczystego jej biegu do celów, o jakich najsłabszego nie mamy pojęcia.

I ten szalony, nieustanny pęd po rozłogach nieskończoności trwać będzie miliardy lat, może miliardy miliardów... trwać będzie dotąd, aż słońce wypali się, jak lampa, i zgaśnie... a ziemia umrze i rozwieje się w pył wszechświata.

Tego rodzaju rozmyślania pychę ludzką druzgoczą i miażdżą na proch.

Słyszę nieraz zdanie, że człowiek opanował naturę.

Ale wypowiadają je tylko pyszałki wiedzy, którzy musnęli ją po wierzchu zaledwo. Takiego zdania nie wypowie nigdy głębszy myśliciel i uczony.

Człowiek nietylko nie opanował natury, lecz jest wobec niej, jak wątła bańka mydlana w szalejącej burzy, jak ziarnko piasku miotane przez rozkiełznane bałwany oceanów.

Cała ludność, jaka istniała, istnieje i istnieć będzie na ziemi, wraz z całą swoją kulturą i cywilizacyą, z miastami, flotami i armiami — to tylko rodzaj pieśni niedostrzegalnej.

Potężna kula, którą zamieszkujemy, nie troszczy się wcale o drobniutkie robactwo ludzkie, mrowiące się na jej powierzchni... jak prastary dąb mocarz nie troszczy się wcale o chmary owadów, rojących się na nim i zakładających niezliczone swe kolonie na jego pniu i na konarach.

Tę potężną naszą kulę ziemską nic a nic nie obchodzi plemię istot dziwnych, które na niej żyją, pracują, martwią się, kłócą, lub weselą. Ona wcale o nich nie wie, zajęta swojem własnem niepojętem życiem. W jej — kuli ziemskiej, żyłach wre i kipi lawa ognista...

W jej żyłach słodko bełkoce woda kryształowa.

Jej pierś chłoszczą góry bałwanów wodnych.

Jej pierś muskają leciuchne powiewy wieczorne.

Jej łono szarpią pioruny w nawałnicach, które z rykiem złowrogim mieszają żywioły...

Jej łono pieszczą mgły różane, po-

dobne do skrzydeł anielskich z sennych marzeń dziecka.

Jej ciało przebiegają prądy elektryczne, ścinają na kamień mrozy gryzące, prażą upały.

Nad czołem jej świecą i grają bajecznie piękne zorze północne.

Tęcze wielobarwne zarzucają swe łuki tryumfalne... kolosalne westchnienia wznoszą jej łono do innego świata.

Niepojęty i silny łańcuch łączy ją ze słońcem. Wiruje ona — ta nasza ziemia — w zawrotnym pędzie wokoło siebie samej... Trzymana przez słońce nierozerwalnym łańcuchem przyciągania, leci wokoło niego tak, jak to płonące serce, dające jej ruch i życie, rozkazało... a z niem razem leci w bezkres.

Słońce kąpie ją w olśniewających promieniach swoich..., tchnienie wieczności przegania ją nieustannie.

A wśród rozegrania tych sił nadzwyczajnych, wśród zamętu żywiołów na ziemi, mocujących się w bezmiarach — czy istnieje na niej niedostrzegalna pieśń, zwana ludzkością, czy nie istnieje... niema to żadnego, najmniejszego znaczenia!...

Drobniuchny proszek - człowiek może tylko wysiłkiem całego szeregu pokoleń obrócić cząsteczkę niektórych sił przyrody na swoją korzyść, a od innych jej sił niszczących broni się, o ile potrafi.

Opanować całej przyrody nie zdoła nigdy, bo jest wobec niej karzełkiem.

Zbiorowy krzyk całej ludzkości ziemskiej i wszystkich ludzkości wszechświata, nie zdolen odjąć, ani d[illegible] dać jednego prochu stworzenia, nie zdolen przyspieszyć, ani opó[illegible]źnić o mgnienie oka ruchu żadnego z [illegible] ciał niebieskich!

Tumany słońc i światów [illegible] rządzą się i rządzić się będą zaws[illegible]e same, jakąś wolą niepojętą, której nie zrozumiemy zapewne nidgy... M[illegible]y jesteśmy tylko zadumanymi wid[illegible]zami przedziwnych zjawisk, które w[illegible]około nas rozegrywa Pani natura...

To zjawi[illegible]sko, jakie ludzie spostrzegli i nazwa[illegible]i dobą (dzień i noc — 24 godziny), [illegible]o jeden wirowy obrót ziemi wokoł[illegible] samej siebie.

To, co nazwali miesiącem, to jeden obrót księżyca wokoło ziemi.

To, co nazwali rokiem, to jeden obieg ziemi wokoło słońca.

I czy to już wszystkie ruchy ziemi? Czy ona krąży wokoło słońca wciąż po tej samej linii?

Nie! Ziemia nie powraca nigdy w to samo miejsce przestrzeni, w którem się już raz znajdowała, nigdy! Nie lecimy nigdy po tej samej drodze. Na każdym punkcie przestrzeni, gdzieśmy byli, znajdujemy się tylko raz jeden, pędząc po coraz innych przestworzach. Słońce bowiem także nie stoi nieruchomo, tak, jak myślano do niedawna, lecz jak każde bez wyjątku ciało niebieskie, leci bez przestanku. Ziemia zaś, będąc jednem kółkiem w tej maszyneryi, która się systemem planetarnym nazywa, leci z niem razem.

Rok zatem, to nie jest pojęcie, wymyślone dla ułatwienia sobie rachuby czasu; rok to jest linia, jaką ziemia wykreśla wśród rozłogów nieskończoności. Słońce okrąża prawdopodobnie inne jakieś słońca. Jeden obieg słońca około owego gwiazdozbioru słońc, czyli jeden rok słoneczny, trwa zapewne całe szeregi tysiącleci ziemskich. I zanim słońce skończy swó[illegible] rok jeden, na ziemi nie będzie już [illegible] że wcale ludzkości i życia wogól[illegible].

A taki nieogarnięty myślą r[illegible] [illegible]k słońca nie wyczerpuje ani sekun[illegible]dy czasu, bo właściwie „czasu“ nie[illegible]ma wcale. To, co nazywamy czase[illegible], to tylko kolejne zmiany zjawisk [illegible] natury. Czas, to jest jakieś wiecz[illegible]yste trwanie, nie mające początku i [illegible] które końca mieć nie może, jak nie m[illegible]a początku ni końca przestrzeń i i[illegible]ość słońc i światów, jakie w niej i[illegible]stnieją.

Żyjem[illegible]y wśród zdumiewających zjawisk, otoczeni czarodziejstwami niezr[illegible]ównanemi, ale jakże daleki jeszcze [illegible] dzień, kiedy wszystkie oczy otwo[illegible]zą się na te cuda?

Dział kobiecy.

Kobieta a alkoholizm.

Jak strasznie głęboko i zatrważająco sięga w swych skutkach pijaństwo matki, wykazał światu prof. Pellman z Bonn w statystyce, którą zamieściliśmy w nr. 11-ym (patrz artykuł pt. „Liczbom wierzcie!“).

Owa statystyka, to jedna z licznych ilustracyj tej prawdy, że przy nadużywaniu alkoholu przez rodziców, u dzieci powstaje przedewszystkiem nałogowe pijaństwo, ataki furyi i rozmiękczenie mózgu.

Statystyka ta wykazuje, że w ogromnej ilości przypadków w trzeciem już pokoleniu rodziców pijących, melancholia, hipohondria, samobójstwo, a w czwartem przytępienie umysowe, idyotyzm, zwyrodnienie i brak potomstwa, to stan normalny.

Stąd rody pijackie wymierają i to jest szczęście dla ludzkości. Ale nim ta[illegible]ki lud wymrze, jak dowodzi przytoc[illegible]zony przykład, ileż natworzy za ż[illegible]ycia i po śmierci — nieszczęść, zbrod[illegible]ni?!

A właśnie w tym względ[illegible]zie alkoholizm kobiety-matki gra pr[illegible]zeważną rolę.

Notowano i spraw[illegible]dzono niejednokrotnie, że — jak to [illegible] miało miejsce i w tej rodzinie, zbad[illegible]anej przez d-ra Pellmana, wogóle po matce alkoholiczce dzieci daleko [illegible] pewniej i szybciej otrzymują w s[illegible]padku zwykłe następstwo pijackiego [illegible] stanu, choćby ojciec był nawet z[illegible]upełnie zdrowym, niż po ojcu pijak[illegible]d.

Silniejsza organicznie natura mężczyzny znać raźniej opiera się „zwycięskiemu pochodowi“ Bachusa. Stąd też, tak rozpowszechnione dzisiaj familijne, czy to w domu, czy knajpie — picie, zwłaszcza piwa, rozpija kobietę, a konsekwencye nie każą na siebie czekać.

Zatruta alkoholem matka, ma zatrute potomstwo.

Więc i w naszych, zwłaszcza wiejskich i robotniczych stosunkach, częstowanie kobiet i dziewczyn na równi z mężczyznami alkoholem, podczas rozmaitych okazyj (przyjęcia, dożynki, pogrzeby), jest wprost niecnością społeczną.

Walczyć z tem trzeba przedewszystkiem drogą rozumową — uświadamianiem skutków.

* * *

Kokarda w włosach.

Kokardka w włosach! Mały, skromny przedmiocik, a mający jednak swoją historyę, jak każdy przedmiot, służący do użytku ludziom. I historya kokardy tej jest starsza, niż nasza znajomość rodu ludzkiego.

Bo w owych przedhistorycznych czasach, z których nigdy nie znajdziemy i znaleść nie możemy dokumentów ludzkich, dla tego samego już, że nie było ludów dosyć oświeconych na to, aby myśli i uczucia wyrażać za pomocą pisma lub obrazów, wówczas istniała już kokarda w włosach kobiet, chociaż w innej, niż dzisiejsza — formie. Stworzyła ją nie próżność, tylko konieczność — kobiety bowiem, mieszkające w dziewiczych lasach i jaskiniach i nieznające innego odzienia jak skóry dzikich zwierząt, musiały bujne kędziory zwięzywać sznurami, aby im zanadto nie spadały w oczy. Kokarda w włosach dawniejszą ma bez wątpienia przeszłość, niż kamienna siekierka, do której roboty i użytku chociażby w naj-



U grobowca Kościuszki.

pierwotniejszej postaci, dosyć dużo potrzeba namysłów i kombinacyj, podczas kiedy do związania włosów sznurem potrzeba tylko chęci chwilowego dogodzenia sobie. Rzecz jasna, że o sznurach takich, jakie mamy dzisiaj, mowy być nie mogło — nasze pra-pra itd. babki zadawalniały się suszonemi łodygami roślin i cienkiemi włóknami korzonków.

Tak minęły setki, a może i tysiące lat! Zwolna rozwinął się u kobiet zmysł piękności i idąca z nim w parze próżność; nasze siostry przeglądały się w zwierciadle fal wodnych i gdy zauważyły, że jasne łodygi roślin stosują się lepiej do ciemnych, a ciemne do jasnych włosów, wtedy zaczęły postępować stósownie do tego. A gdy się nauczyły zaplatać włosy w warkocze i zapinać je już to wyżej, już to niżej, wtedy zaczęły się namyślać nad tem, w czem im lepiej do twarzy i coraz więcej uwagi zwracały na to, czem włosy związać.

I tak powstała kokarda!

Od tego czasu już się kobiety bez niej obyć nie mogły, i nietylko kobiety, ale i mężczyźni. Na obrazach wszystkich wieków i wszystkich narodów znajdujemy wstążki i kokardy — na płaskorzeźbach asyryjskich widzimy wstążkami zdobione sztywne pukle i często nawet brody mężczyzn. Tak samo wyglądają staroegipskie posągi, lecz tu przeważają głowy kobiet, mających włosy zaczesane na czubku głowy w kształcie kutasa, przeplatanego wstążkami. Na czołach są też przepaski, oszywane perłami, i przytrzymywane po obydwóch stronach głowy wyraźnemi kokardami. Taki strój głowy wydaje nam się dziś bardzo niegustownym — Greczynki dopiero okazały więcej poczucia wytworności. W Grecyi tylko kobiety stroiły włosy wstążkami — owijały włosy w około głowy złotemi „przepaskami“ i zawiązywały zgrabnie albo na kokardy albo zamykały je agrafami. Moda ta powtarza się często aż do czasów obecnych, mianowicie Francuzki czeszą się chętnie à là grec. Za czasów Aleksandra Wielkiego znikły wstążki zupełnie, zatrzymano tylko kokardę i zamieniono ją zwolna pod wpływem mody persko-wschodniej, na strój, podobny do turbana. Pomiędzy podarunkami, jakie władca macedoński składał pięknej Roksanie, znajdowały się podobno także ozdoby głowy z byssusa i jedwabiu purpurowego, haftowanego piórami pawiemi.

Im dalej na Zachód i na Północ, tem mniejszych kokard używały kobiety. Na Południu natomiast a mianowicie na Wschodzie, przybierała kokarda coraz to więcej rozmiary turbana. Młodsze kobiety przeplatały wiszące luźno włosy wstążkami i wiązały je na dole długiemi kokardami. Germańskie kobiety nie lubiły wprawdzie zakrywać głowy, lecz

na wielkie uroczystości zaplatały także w włosy sznury pereł i różnokolorowe wstążki.

W późniejszych czasach zamieniono kokardy w włosach na tak zwane rozety. Używano ich głównie w czasach średniowiecznych. Zdobiły one „à la geisha“ czepeczki z epoki włoskiej renaissance tak samo jak i mocno usztywnione czepce płócienne lub koronkowe niemieckich mieszczanek z szesnastego stulecia, albo rozdzielone na środku głowy, szeroko odstające loki szlachcianek z czasów Wallensteina. Tutaj otacza kokardę zwykle znajdujący się w środku guzik, wysadzony drogiemi kamieniami. Jako curiosum wspomnieć należy, że w Szwecyi, po ukończeniu wojny 30-letniej, zakazano nosić kokardy ozdobione drogiemi kamieniami, a gdy panie ogromnie się na zakaz ten oburzyły, zniesiono go wprawdzie, lecz nałożono na ozdobę tę wysoki bardzo podatek. — Nad czemś podobnem namyślano się także niegdyś w Anglii, t. j., gdy chodziło o ubranie, wprowadzone w modę przez Van Dycka, a wymagające ogromnych kosztów, ale zamiary ówczesnego ministra opodatkowania tego zbytku spełzły na niczem. Ślicznie zresztą wyglądają i bardzo stroją kokardy i wstążki na portretach kobiecych sławnego tego malarza.

Największą rolę jednak odgrywała kokarda dopiero w ośmnastem stuleciu. Oglądając stare żurnale i ówczesne kostyumy, widzimy jak dziwne, a pomimo to ładne formy nadawano kokardzie. Przypinano ją już to jako motyla do rozpuszczonych włosów, już to jako kwiat poniżej ucha — raz królowała nad czołem, raz spuszczała się zgrabnie w długich końcach na szyję. Piękne panie nosiły ją tak, jak im było najlepiej do twarzy, a panowie zwięzywali dużemi kokordami biało upudrowane peruki i stroili się w nie z większą nieomal niż panie, zalotnością.

Potem nastąpiły czasy t. z. „biedermaier“, w których kokarda stała się wyłączną własnością kobiet. Sztywna i skromna zdobiła włosy zaczesane na skroniach w „pracle“ lub spadające wzdłuż policzków w długich, mocno skręconych lokach i związanych na czubku głowy w odstający, brzydki pęk. Kokardy były wówczas jak przyklejone do włosów i musiały być czarne. Ale po upływie dwudziestu mniej więcej lat zarzucono straszną tę fryzurę i kokarda stała się znowu jaśniejszą i barwniejszą. Panie wówczas nie mogły mieć dosyć przypinanych warkoczy, loków i krepin na głowie, kokarda więc musiała być o wiele większą i zgadzać się z kolorem sukni. Kobieta bez kokardy była wprost niemożliwą. Znajdowała się ona zawsze poziomo nad czołem i tonęła formalnie w morzu torsad, loczków, rolek, puf i warkoczy, a świeciła już zdaleka jasnym kolorem. Na początku r. 1880 znikła znów na pewien czas, teraz jednak odzyskała z podwójną potęgą utraconą władzę.

Co mówić o dzisiejszej formie kokardy? Każdy ją zna, wszakże zdobi wszystkie fryzury, uszyta z wstążki złotej lub srebrnej, lub czarnej. Kolorowych kokard widać dotąd jeszcze nie wiele. Kto umie jej używać z wdziękiem i gustem, ten potrafi wywoływać doskonałe efekty, w przeciwnym jednak razie — — dokończenie zdania pozostawiam domyślności czytelniczek. Jestem zbyt grzeczną aby — — W każdym razie wymaga dzisiejsza kokarda dosyć skomplikowanej fryzury, bo na włosach zupełnie skromnie i gładko zaczesanych nie wygląda dobrze. Ale może i to zmieni się wkrótce, któż bowiem dziś przewidzieć może, jaką formę przybierze kokarda za kilka miesięcy?



Edm. Bogdanowicz (Bożydar).

MAZUREK.

Krzesało cię słońce
I podkówki złote,
A dała ci szara gleba
Mazurską tęsknotę.

Śpiewały cię zorze —
Odśpiewały echa,
A słuchały białe ściany
I omszała strzecha.

Dzwoniła cię trąbka
Na ułańskim koniu,
Gdy szły hufce roztańczone
Na śmiertelnem błoniu.

Wyszeptał cię kurant,
Chłonęła noc cicha,
I, jak hejnał, w cztery strony
Dal twem echem wzdycha.

Masz ty, jako bogacz,
Skarb słońca i złota —
Ale słuchaj... Cyt! — to płacze
Mazurska tęsknota.

Aby dobrze zrozumieć to, co swoje, trzeba koniecznie poznać to, co obce, bo wtedy tylko rzeczy swojskie stają we właściwem świetle.

Wojciech Dzieduszycki.



Jeszcze o komecie Halley'a

Zapowiedziana kometa już — się ukazała. Astronomowie obserwują ją przez szkła. Gołem okiem widzieć jej dotąd nie można.

Ludziska różne snują przepowiednie i wróżby z pojawienia się komety Wielu przypisuje jej wpływom, że mieliśmy tak łagodną zimę, a mamy wczesną wiosnę. — Jeśli to prawda, to wcale grzeczna ta pani kometa. Po co więc te strachy przed nią? Zazwyczaj ludzie lubują się w strachach, nic dziwnego, że i komecie Halley'a przypisują złe jakieś zamiary względem naszej ziemi. Nic to zresztą nowego. Tak zawsze bywało, ile razy pojawić się miała ta kometa.

Kroniki lwowskie opowiadają nam o strachach ludzi przed laty, kiedy to właśnie pojawiła się ta kometa. Oto co w nich czytamy.

„Ma to być rok ostatni tego świata. — W tym to nieszczęśliwym dla nas roku ma przyjść ogromny kometa na naszą ziemię i ją w najdrobniejsze kawałeczki rozgruchotać, więc: koniec świata i sąd ostateczny... A ten oto i niewiedzieć przez kogo, a niczem nie udowodniony fałsz jakby błyskawica obleciał kraje i narody i odrazu silną znalazł wiarę“...

„Sam astronom niemiecki z dawniejszych kronik to proroctwo w świat puścił. Inni, którzy łatwo we wszystko wierzą, uwierzyli najmocniej w to proroctwo i bali się jak dzieci strachów nocnych, zaś ci, którzy niczemu nie wierzą, nie wierzyli i w kometę i śmiali się w głos z niego. Ci, co zawsze byli pobożni, dziś stali się bardziej pobożniejszymi, a wielu nawet tak dalece, że i sprawy codziennego w społeczeństwie porządku dla pokuty zaniedbywali, zaś ci, co zawsze hulali, hulają tem więcej dziś, aby użyć do woli świata tak dalece, że rządy dyskusyi o tym komecie w Gazetach zakazali, aby porządku rzeczy nie mieszać. Ci, co łakomo rozmiłowani w rzeczach doczesnych, spieszyli tem gorliwiej, aby interesa pokończyć, gdyż po skończeniu świata nie będzie sposobności ku temu.“

„Na domiar trwogi i strachu w samo Boże Ciało 11 czerwca po procesyi okropna burza z gradem wielkim, która od Lubienia począwszy idąc na północ po przez Lwów aż do Kulikowa, i stamtąd zawracając na Wschód przez

Ostrów, Krystynopol popod Sokal w Złoczowskiem się skończyła — zostawiwszy po sobie wielkie spustoszenia... Przez te dwa dnie następne 12 i 13 czerwca osobliwiej u żydów i pospólstwa ogromna trwoga panowała. Po całych nocach czuwali, jedni na modlitwie, a inni przy kieliszku, aby w ochocie świata dni swe kończyć.“

Na tem się urywa opis wypadków z powodu ówczesnej komety, nakreślony ręką naocznego świadka O. Leona Godurowskiego, zawiadowcy parafii św. Andrzeja Ap. i gwardyana klasztoru. Kronikarz nie mówi, co kometa przyniosła, ale widać, że obeszła się grzecznie z ziemią i jej ludnością, skoro świat istnieje, ludziska także. Ufajmy więc, że i teraz kometa nie będzie dla nas okrutną...

Pogadanka naukowa.

O wyrobie nawozów sztucznych z azotu powietrza.

Znakomity uczony angielski, Wiliam Crookes, na kongresie Towarzystwa popierania wiedzy w roku 1898 poruszył kwestyę zbożową. Wykazał on, że z postępem cywilizacyi ilość spożywanej pszenicy wzrasta w bez porównania szybszem tempie niźli naturalny wzrost ludności. Widmo głodu zagraża ludzkości, jeżeli ta nie zdoła w krótkim czasie podnieść wydajność gleby rodnej. Dla pokrycia zapotrzebowania w 1935 roku plon wzrosnąć musi w stosunku 12.7 do 20, a zużycie saletry w stosunku 1,75 do 12.

Teoretyczne wywody uczonych, pragnących użyźnić ziemię przez sztuczne zasilanie jej azotem, znalazły poparcie w danych liczbowych. Bethmann Hollweg, obecny kanclerz rzeszy niemieckiej, w mowie wygłoszonej w lipcu przed parlamentem berlińskim dowiódł, że zawdzięczając umiejętnemu stosowaniu saletry w Niemczech — dowóz obcego zboża spadł w roku 1907-ym do 1,9 proc., podczas gdy w roku 1900-ym wynosił jeszcze 9,4 procent.

Od czasu Liebiga wiadomo nam, jak poczesną rolę odgrywa azot przy t. zw. przemianie materyi, procesie, stanowiącym podstawowy warunek życia. Pierwiastek ten odbywa nieustanną wędrówkę ze związków organicznych do nieorganicznych i odwrotnie.

Dla zwiększenia zapasu azotu w roli pokrywamy ją mierzwą lub zasilamy nawozami sztucznymi. Także za pomocą uprawy roślin strączkowatych wolny azot powietrza wprowadzamy do



Bezpieczna przeprawa.

składników gleby, a to wskutek właściwości asymilacyjnych, jakie posiadają pewne bakterye, pasożytujące na korzeniach rzeczonych roślin. Energia pracy tych żyjątek jest olbrzymia. Niektóre z nich wydzielają dwutlenek węgla w ilościach 127 razy przewyższających własną swą wagę, absorbując w organizmie odnośną ilość azotu.

Dotąd do nawożenia ziemi sprowadzana bywa saletra sodowa, czyli chilijska, gdyż największe pokłady jej znajdują się w Chili. Atoli zapasy tej saletry są już na wyczerpaniu. Według obliczeń, dokonanych w roku 1900-ym, w terenach Chili znajduje się około 70 milionów ton. Przy obecnym popycie ilość ta najwyżej wystarczy do 1946 r.

Bez porównania obfitsze zapasy azotu posiadamy w powietrzu. Jeden metr sześcienny powietrza na powierzchni ziemi zawiera w sobie nie cały kilogram tego gazu, skąd wniosek, że w powłoce atmosferycznej znajduje się do czterech trylionów kilogramów azotu, czyli na mordze ziemi spoczywa 45 milionów kilogramów.

Znany specyalista niemiecki profesor dr. Paul Wagner wysnuł i sprawdził na podstawie licznych doświadczeń teoryę najmniejszości. Każda gleba urodzajna musi zawierać w sobie niezbędnie pewne ilości fosforu, potasu i azotu. W razie braku któregokolwiek z tych składników, wzmaganie zapasów dwóch innych do niczego nie prowadzi.

Dla unaocznienia swej teoryi, oraz wykazania niezbędności azotu w glebie uprawnej, Wagner zasadził ziarnka owsa w czterech doniczkach. Ziemia, zawierająca wszystkie trzy składniki, wydała 99 gramów, potasu 81 gr., azotu — 11 gramów. A więc brak azotu obniżył wydajność gleby o 89 procent.

Do niedawna panowało uprzedzenie, że azotowe nawozy sztucznie nie nadają się do uprawy czarnoziemów i wogóle ziem ciężkich. Przyczyną nieporozumienia była ta okoliczność, że czarnoziemcy przy wyjaławianiu tracą prze-

dewszystkiem kwas fosforowy, a zatem chcąc podnieść ich wydajność, należy zasilać je w fosfor, a wtedy dopiero nawożenie fosforowe wyda odpowiednie rezultaty.

Rolnicy nasi także pamiętać powinni, że saletra chilijska, zawierająca sodę, czyni ziemie twardemi i nieprzepuszczalnemi dla wody. W takich warunkach działa skuteczniej saletra wapienna, posiadająca własności hydroskopijne.

Z chwilą, gdy zaludnienie kraju przekracza pewną określoną granicę, stosowanie saletry staje się nieodzownem. Z krajów europejskich najgęstszą ludność posiada Belgia; posiadając przeszło 7 milionów ludności, zużywa 75 tys. ton saletry. Drugie po niej miejsce zajmują Niemcy. W nich na 60 milionów ludności konsumpcya saletry wynosi 20 tys. ton. Najmniej saletry spotrzebowywa Rosya, bo tylko 2,500 ton na 145 milionów mieszkańców, co uczyni przeszło jedną setną kilograma na głowę.

Stale wzrastające zapotrzebowanie azotu oraz szczupłość pokładów saletry chilijskiej zniewoliły ludzi do szukania nowych źródeł azotu, do opracowania praktycznych metod otrzymywania go z powietrza — w związkach rozpuszczalnych, łatwo rozkładających się w ziemi.

Sposoby fabrykacyi saletry z azotu powietrza opierają się na jego powinowactwie chemicznem do tlenu. Jeszcze w roku 1781 Cavendish przy spalaniu wodoru w nadmiarze powietrza otrzymał wodę zawierającą kwas azotowy, Priestley zaś w roku 1784 spowodował powstanie tlenku azotu pod wpływem iskier elektrycznych.

Od roku 1890-ego kwestyą otrzymywania kwasu azotowego z azotu powietrza zajmowali się von Lepel, Crookes, Guye, Rayleigh, M. Dougall i Howles, J. Kowalski, Ig. Mościcki, Fichter, Nernst, Brode, Jellinek i wielu innych. Największe jednak rezultaty otrzymał rodak nasz Ignacy Mościcki.

Zasada produkowania kwasu azotowego z azotu powietrza przedstawia się następująco: Między dwoma przewodnikami elektrycznymi zachodzi wyładowanie, iskrze elektrycznej nadawana bywa forma płomienia, przez który przepuszcza się prąd powietrza. Azot w połączeniu z tlenem daje tlenek azotu, a ten przez ponowne zetknięcie się z tlenem, a następnie z wodą, ostatecznie przechodzi w kwas azotowy.

Pierwsze próby techniczne na większą skalę, wykonali: Bradley i Loveyoy w Ameryce nad wodospadem Niagary. Jednak rezultaty praktyczne i owocne dotychczas osiągnęli tylko pr. Birkeland i inż. Eyde w Chrystyanii, Badische Sodafabrik w Ludwigshafen nad Renem, oraz Ignacy Mościcki we Fryburgu szwajcarskim. W r. 1901-ym utworzone tam zostało „Towarzystwo kwasu azotowego“, które na początku 1906 roku przeszło pod kierownictwo inż. Karola Sulikowskiego.

W piecu elektrycznym wynalazku Mościckiego, wytwarza się łuk elektryczny, który pod działaniem pola magnetycznego wprawiony zostaje w ruch wirowy. Przez tarczę płomienną, w ten sposób otrzymaną, przepływa szybki prąd powietrzny. Aby zapobiedz dysocyacyi tlenku azotu, ochładza go się zapomocą powierzchni metalowych, oziębianych wodą. Przy użyciu pieca Mościckiego wytłaczane powietrze zawiera 2 proc. tlenku azotu, przy innych sposobach dosięga najwyżej 1 proc.

W roku zeszłym patenty Mościckiego na Austryę i Szwajcaryę nabyła firma, wyzyskująca wodospady Renu do wyrobu glinu: „Société Anonyme pour l‘Industrie de l‘Aluminium“ w Neuhausen. Firma ta wykończa pod osobistym kierunkiem Mościckiego olbrzymią fabrykę kwasu azotowego w Chippis w Szwajcaryi, gdzie zostaną zużytkowane wody Rodanu o sile 40 tys. koni mechanicznych.

Patenty rosyjskie i finlandzkie oraz prawa do stosowania patentów austryackich w Galicyi nabyło „Towarzystwo inicyatywy przemysłowej K. Sulikowski i S-ka“.

Rozwój fabrykacyi saletry sztucznej niewątpliwie odegra bardzo ważną rolę w przemyśle. Przedewszystkiem zużytkuje olbrzymie zbiorniki energii wodnej, które obecnie nie znajdują nabywców. Roczny wzrost zużycia saletry wynosi 54 tys. ton, co wymaga zaprzągnięcie do pracy rok rocznie nowych 87 tysięcy koni mechanicznych. Takiej siły mogą nam dostarczyć tylko wodospady i naturalne spadki rzek.

Dla naszych krajów rolniczych posiadanie własnych fabryk saletry nie jest rzeczą obojętną. Rozwój przemysłu saletrzanego w kraju zapewni nam niezależność ekonomiczną, stanie się źródłem bogactwa narodowego, a nadto przyczyni się do podniesienia innych słabo jeszcze prosperujących. gałęzi przemysłu.

Zawsześ mnie żywiła
Ręko moja! Kto Bogu dufa i pracuje,
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.

S. Szymonowicz.



Po świętach.

(Humoreska.)

Kopiujemy list, wystosowany przez przywiązaną córkę Franciszkę z miasta stołecznego do najdroższych rodziców zamieszkałych w M...

„Donoszę najdroższym rodzicom, że u nas już minęły święta, podczas których każdemu z osobna zdawało się, że jest wielkim panem i że zjadanie specyałów nie będzie miało końca. Tymczasem, proszę sobie wyobrazić, święta minęły szybko, niby z bicza trzasnął, i już od trzeciego święta zaczęły się znowu dni powszednie.

„Co do mnie, nie mogę tak bardzo narzekać, bo dzisiaj, jak przyszłam do szycia, to nasza pryncypałowa była chora na niestrawność i mogłam trochę wolniej poruszać maszyną, w której, powiem mamie w zaufaniu, oliwa przez święta zaschła i piszczała, ma się rozumieć oliwa, a nie maszyna.

„O mnie stara się jeden pracujący w aptece. Miały się już odbyć nasze zaręczyny, ale on odłożył, ponieważ jak raz nie miał pieniędzy na kupno pierścionka, muszę więc czekać. Niedawno mój narzeczony namawiał mnie, aby z nim pójść na komedyę do teatru. Odmówiłam. Już raz załapałam się w taki sam sposób i nikt mnie na to nie weźmie. Niech sobie rodzice wyobrażą, grali taką komedyę w teatrze, która się nazywa „Śluby“ i niema żadnego sensu. Ani muzyki, ani tańców, a to, co tak dużo mówili, to słowo daję, cóż mnie może obchodzić? Zdaje mi się, że to wszystko kłamstwo, a ja nie chcę, aby mnie biedną dziewczynę, za moje własne pieniądze, ktoś miał okłamywać.

„Po przedstawieniu powracaliśmy do domu, lecz powoli, gdy tymczasem jestem przyzwyczajona do bardzo szybkiego chodzenia. U nas jest taki zwyczaj, że dziewczyna, idąca przez ulicę wieczorem, musi koniecznie uciekać, jak gdyby komu co ukradła. Bardzo często, zmęczona pracą całodzienną, chciałabym trochę odetchnąć świeżem powietrzem, chciałabym odświeżyć się i odsapnąć. Figa marynowana! Panowie urządzają na nas obławy, zupełnie jak to bywało na wsi, gdy tata był jeszcze gajowym. W naszem mieście ubogiej dziewczynie nie wolno iść zwolna nie tylko wieczorem, ale nawet i we dnie.

„W bardzo ładnej książce pod tytułem „Tajemnice jednego haremu w



Kwiatek kocha kwiatki.

Konstantynopolu“, czytałam, że Zulejka była w mieszkaniu swego męża uwięziona i na każdy jego rozkaz musiała grać na gitarze. Prawda, że to jest przykre, jeno tutaj tak samo jesteśmy skrępowane. Kto tylko z panów przechodzi, zaraz zaczepia mnie i powiada, że kocha, i dalej pędzi. Ładna miłość, od której już dostałam rozedmy płuc, bo inaczej nie mogę chodzić, tylko wyciągniętego kłusa.

„Są tu niektórzy panowie, co przeciwko tym zaczepiającym ostro w gazetach powstają, jak mi się zdaje przez zazdrość. Jak nikt nie widzi, to i oni to samo robią. Czy kochany tata niema tam jakiego zbywającego harapa? Bardzoby mi się przydał. Już trzy parasolki połamałam na karkach tych panów. Zarobki małe, więc nie mogę się tak rujnować. Bat byłby poręczniejszy.

„To, co mama w ostatnim liście pisała, że nasz najmłodszy Kazik ma krzywe nóżki i że doktor kazał mu pić tran, to myślę, że on się nie poznał. Musi to być wcale nie choroba angielska, lecz poprostu secesya, która teraz jest bardzo w modzie. Na wystawie u tapicera widziałam krzesła, stoły i fotele z takiemi samemi nogami. Radzę, aby mama Kazika zupełnie nie leczyła, tylko pomalować go na kolor zgniło zielony, to zobaczą kochani rodzice jak to będzie ładnie wyglądało. Będzie mama miała syna według ostatniej mody.

„Więcej o świętach już nie piszę, bo raz, że kolej ma zamało wagonów i atrament zdrożał, a powtóre, że najdrożsi rodzice nie umieją czytać pisanego, więc i tak wszystko stracone. Mnie ten list pisze pracujący w aptece, o którym już mówiłam. Bardzo porządny człowiek, i jak tylko ukończy kurs wynoszenia beczek ze składu w piwnicy, to będzie użyty do kręcenia wałkiem w misce pomady, czego i rodzicom życzy kochająca córka

Frania.“

Za zepsutym językiem, tak jak cień za ciałem, idzie konieczny upadek smaku, nauk i oświecenia.

Jan Śniadecki.

* * *

Gdyby kotek miał skrzydła, wróbli by nie stało;
Gdyby każdy miał co chce, cóżby mieć się zdało?

Kazimierz Brodziński.

* * *

Jak obraz święty w mieszkalnej komnacie,
Uświęca miejsce, Boga przypomina:
Tak matka zacna w cnót swych majestacie,
Jest czci obrazem w domu swego syna.

Władysław Fedorowicz.

* * *

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 3-go kwietnia 1025 śmierć Bolesława Chrobrego. — 1241 spalenie Krakowa przez Tatarów. — 1831 powstanie w powiecie dziśnieńskim i w Trokach.

Dnia 4-go kwietnia 1581 śmierć Jakóba Uchańskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1657 zjazd w Modliszewicach Karola IX. z Rakoczym. — 1770 manifest konfederacyi barskiej. — 1794 świetne pod Racławicami nad Moskwą zwycięstwo. — 1803 odrodzenie się uniwersytetu wileńskiego. — 1831 powstanie w Oszmianie. — 1849 legion polski przeważa zwycięstwo pod Biczko.

Dnia 5-go kwietnia 1194 śmierć Kazimierza Sprawiedliwego. — 1573 pierwszy wolny sejm elekcyjny we wsi Kamieniu. — 1656 bitwa ze Szwedami pod Sandomierzem. — 1831 powstańcy zajmują Połągę.

Dnia 6-go kwietnia 1361 pierwsze założenie akademii krakowskiej. — 1551 śmierć Barbary Radziwiłłownej. — 1617 wyprawa Władysława IV. na Moskwę. — 1831 powstanie Niemenczyna i Szyrwint. — 1846 usamowolnienie chłopów w Galicyi. — 1849 legion polski w bitwie pod Isaszeg.

Dnia 7-go kwietnia 1278 śmierć Bolesława Pobożnego. — 1578 miasto Ryga przysięga na wierność. — 1656 pobicie Szwedów pod Wartką. — 1849 Pius IX. papież poświęca chorągiew legionów polskich.

Dnia 8-go kwietnia 1390 Jadwiga na czele wojska w wyprawie na Węgry. — 1525 Albert mistrz krzyżacki przyjmuje wiarę Lutra i jako książe lenne zaprzysięga poddaństwo. — 1551 Orzechowski za heretyka osądzony. — 1764 konfederacya wileńska.

Dnia 9-go kwietnia 1241 klęska Polaków pod Lignicą. — 1570 sejm w Sandomierzu uchwala wolność wyznań. — 1606 zjazd w Stężycy rokoszan Zebrzydowskiego. — 1793 oświadczenie drugiego rozbioru Polski. — 1831 Dwernicki wkracza na Wołyń.

Humor i satyra.

Współczesne małżeństwo.

Mąż: A zatem postanowione. Rozchodzimy się. Musimy jednak zdecydować co zrobić z dziećmi?

Żona: Oh, to bardzo proste. Jedno wezmą moi, a drugie twoi rodzice.

* * *

Najlepiej.

Ciocia (rozdzielając siostrzeńcom zabawki). A kto ma dostać harmonię?

Ojciec. Koniecznie — Jasio!

Ciotka. A czemu to?

Ojciec. Bo najrychlej się z nią załatwi!

* * *

Sprytni.

Kapitalista (do swego przyszłego zięcia). Wiesz pan, zbierałem o panu referencye.

— Tak? Bardzo słusznie, ja bowiem zbierałem je także o panu.

— Istotnie? Wie pan, może lepiej zacznijmy mówić o czem innem.

* * *

Na wystawie obrazów.

— Jak może twój przyjaciel używać barw tak krzyczących?

— Czy nie wiesz, że jest głuchy?

* * *

Z fizyki

Fizyka niesie hołd prawom natury
I nieomylną bywa jej zasada,
Więc człowiek wolno wznosi się do góry,
Lecz za to na dół bardzo szybko spada.

* * *

Nowa symbolika.

Kazik zamiast pisać powinszowanie dla ojca, robisz tylko żydów.

— To właśnie dobrze! Papa zaraz zrozumie, że mu życzę dużo pieniędzy.

* * *

Szczery.

— Mam nadzieję, że szanowny pan zechce protegować mój hotelik...

— Chętniebym to zrobił, ale nie mam ani jednego śmiertelnego wroga.

* * *

Spółka.

Dobra spółka jest wtedy, powiadają ludzie,
Gdy spólnicy się wzajem dopełniają w trudzie
Znałem takich; i krawiec i szewc wciąż był struty.
Ten temu kurtę krajał — ów wzajem szył buty...

* * *

Wie dlaczego.

A. — Nie mogę pojąć, dlaczego niektórzy doktorzy polecają jazdę na kole. Jeżeli to czyni ludzi zdrowszymi, to oni przecież na tem tracą.

— Ano, widzisz, oni mają takie wyrachowanie, że jeden zdrowy i silny cyklista może pokaleczyć tuzin przechodniów co tydzień.

* * *

Zawód.

Ha, ha, panie M., potrafiłeś pan doskonale wkraść się w łaskę bogatej ciotki głównie za pomocą pieszczot, okazywanych jej staremu pieskowi. Musiała też panu zapisać ładną sumkę.

— Zapisała mi... psiaka, ponieważ tak go lubiłem, jak się wyraziła w testamencie.

* * *

W zwierzyńcu.

Mały Jaś stanąwszy przed słoniem, kiwa głową i powiada do ojca:

— Tatku, taka gruba skóra toby się nam obu przydała.

Dlaczego?

— A no, tatce, gdy mama wali, a mnie, gdy nauczyciel bije...

* * *

Nasze dzieci.

— Chce wujaszek, to przeliczę jego włosy na głowie.

— Mój kochany, to niemożebne.

— Dlaczego, wszak już umiem liczyć do dziesięciu....

* * *

To nie dowód.

W pewnem żydowskiem towarzystwie, rozmawiają o świeżo przybyłej do małego miasteczka artystce. Idzie o to, ile może ona liczyć lat. Jedni utrzymują, że trzydzieści, drudzy, że najwyżej dwadzieścia pięć.

— A ja powiadam państwu, — odzywa się jeden z obecnych w pokoju, że nie ma ona więcej nad dwadzieścia lat.

— Skądże pan wie o tem? zapytują go wszyscy.

— Bo widziałem na własne oczy jej akt chrztu.

— Mój panie, — odzywa się świeżo przeszły z judaizmu na religię chrześcijańską młody adwokat, — jeśli akt chrztu jest niezbitym dowodem wieku, w takim razie ja mam obecnie dopiero trzy lata.

* * *

Źródło długowieczności.

— Przedstawiam ci tego starca, — odzywa się ktoś do swego przyjaciela. — Liczy on sobie 90 lat, pracuje ciągle, i jest dotąd zdrów jak ryba.

— A jakie jest jego zajęcie — zapytuje przedstawiającego przyjaciel.

— Jest on z zawodu kominiarzem.

— W takim razie nie dziwię się, że tak długo żyje. Wędzone w dymie mięso, konserwuje się dłużej niż świeże.

* * *

Chłopska logika.

— Wiecie co, Maciejowo, chłopak Wojciechów wczoraj się w rzece utopił, — mówi do swojej kumy wiejska roznosicielka nowinek.

— Wiem, wiem. Dla tego też w ostatnich dniach był on taki blady.

Ze świata dziecięcego.

Młody Kazio bywa często z mamą u cioci. Ciocia jest bardzo gościnna, ilekroć więc ma gości u siebie, zastawia stół obficie i raczy przybyłych sutym poczęstunkiem. Mama, zasiadając do zastawionego przysmakami stołu, zwykła czynić cioci wyrzut: „Moja droga, czego ty sobie robisz z nami tyle subjekcyi?“

Dziś właśnie Kazio przyszedł do cioci z wizytą. Czeka dziesięć minut, czeka kwadrans, ciocia jednak ani myśli o poczęstunku. Kazio kręci się na krześle, zagląda do drugiego pokoju, wreszcie pociąga ciocię za suknię.

— Proszę cioci, zaczyna nieśmiało.

— A co Kaziu?

— Czy ciocia dziś nie będzie robiła z nami subjekcyi?

* * *

Wśród małżonków.

— Zmiłuj się mężu! jak można podczas takiej niepogody wyjeżdżać na rowerze? — rzekła żona, widząc męża już ubranego w kostyum cyklisty.

— Ba! właśnie ta niepogoda zmusza mnie do wycieczki — odrzekł niebardzo uprzejmy mężulek.

— Cóż znowu! nic nie rozumiem?

— A tak, bo nie mogąc wyjść na miasto do magazynów, pewnie usiądziesz do fortepianu.

* * *

Poważny fundusz.

— Cóż, umiesz się obrachować? zapytuje ojciec syna, studenta.

— O umiem.

— Ileż ci zostaje w dniu 31-ym każdego miesiąca z pensyi?

— Phi... W każdym razie tyle, iż mogę napisać do domu list... niefrankowany.



PAŁAC I TEATR.

Powieść z angielskiego.

3) Tłom. **S. P.**

(Ciąg dalszy).

— Przeciwnie, zajęcia nie pozwalają mi na poświęcanie czasu rodowodom magnackim, — zauważył Gerald obojętnie, patrząc na zegarek. — A teraz nie mógłbym się dowiedzieć, w jakim celu wezwałeś mnie pan do siebie ogłoszeniem w gazecie?

Głos jego stawał się ostrym od przymusu, jaki sobie zadawał, aby nie zdradzić niepokoju.

— Owszem. Oto lord Elsdale polecił mi uwiadomić pana, że jeżeli potrafisz złożyć dowody małżeństwa jego brata, gotów jest uwolnić cię od ciężaru wychowywania pozostałej po nim córki — przyjmie ją za swoją, będzie ją adoptował i uczyni spadkobierczynią całego majątku Elsdalów!

— Spadkobierczynią całego majątku? — powtórzył Gerard zdumiony. — A cóż się stanie z synami hrabiego?

Starzec westchnął ciężko.

— Lord Elsdale nie ma już synów, — odrzekł smutnie. — Posiadał tylko dwóch i dwóch stracił. Starszy zginął przed wielu laty w wypadku na kolei i to w warunkach, które śmierć jego strasznym dla hrabiego uczyniły ciosem. Młodszy, jedyne dziecko z drugiego małżeństwa, umarł przed trzema miesiącami na tyfus, osierocając nieszczęśliwego ojca, który jak dąb, burzami życia z wszystkich ogołocony konarów, sam jeden na świecie pozostał. Czy mówiłeś co, panie Desmond?

— Nie! — szepnął Gerald głosem drżącym i tak zmienionym, że James zdziwiony, spojrzał na niego. Ale nie widział twarzy, zręcznie ręką zasłonionej.

— Wszakże zostawisz mi pan akt ślubu, — mówił niewidomy prawnik dalej. — Zanim uwiadomię o wszystkiem hrabiego, muszę zbadać wiarogodność każdego szczegółu. Szkoda, że nie znasz pan miejsca urodzenia dziewczynki, no, ale trudno — będziemy się musieli obejść bez tego. Możnaby ogłosić znowu w gazetach, lecz nie chciałbym dawać tej sprawy na pastwę publiczności. Po co opowiadać całemu światu o pochodzeniu kobiety, która ma tak wysokie zająć stanowisko!

Gerald wyjął pugilares i drżącemi palcami szukał żądanego dokumentu. Tuż obok tego papieru leżał list, zaadresowany ładnem kobiecem pismem, na którego widok zacisnęły się boleśnie usta aktora.

— Zostaw mi pan swój adres, — rzekł pan Francis grzecznie. — Czuję się w obowiązku wyrażenia ci podziękowania za trud, podjęty w celu odwiedzenia mnie. Lord Elsdale zaciągnął także względem pana dług wdzięczności, o którym pewnie nie zapomni. On......

— Lord Elsdale nic mi nie winien, — przerwał Gerald szorstko. — Wszystko co uczyniłem, było ofiarą, złożoną Norze, a nie lordowi.

— Nie przeczę temu, nie zmniejszy to jednak wdzięczności milorda za opiekę, jaką pan otoczyłeś najbliższą jego krewną. Za kilka dni będę miał zaszczyt doniesienia ci o dalszych jego zamiarach!

Gerald pożegnał obydwóch prawników i wyszedł.

— James, powiedz mi, jak on wygląda? Jaki to podług twego zdania człowiek? — zapytał niewidomy syna, gdy zostali sami.

— Uczciwy i honorowy, — odrzekł James bez namysłu. — Żal mi go — sprawa ta bowiem ciężką mu widocznie sprawia boleść serca. Wychodząc, miał wyraz twarzy nieszczęśliwego człowieka.

— Jest on rzeczywiście podobny do Lionela Hattona, o którego niegodziwości nie mieliśmy dokładnego pojęcia?

— Tak, przypomina go trochę — ale podczas kiedy tamten wątły był i drobny, odznacza się ten tutaj postacią wysoką, wysmukłą i pełną siły, o ile też twarz Lionela wyrażała zniewieściałość i słabość charakteru, o tyle wyraża twarz Desmonda energii i rozumu. A jednak jest ogromnie podobny — nie tylko do Lionela, ale jeszcze do kogoś z naszych znajomych — nie mogę sobie przypomnieć do kogo....

— I głos jego nie jest mi obcy, — zauważył stary Francis po chwili namysłu. — Nie wiem gdzie i kiedy go słyszałem...... Proszę cię James, przejrzyj ten akt ślubny i powiedz mi, czy wszystko tam w porządku?

Gdy po kilku latach odkrył ociemniały prawnik całą prawdę, nie mógł darować sobie, że po tym dźwięcznym, metalowym głosie nie odgadł jej od razu.

Iluż to nieszczęściom, iluż bólom i troskom można było zapobiedz wtedy!

ROZDZIAŁ IV.

Cichy śmiech przerwał namiętny głos deklamującej i młoda dziewczyna zatopiona w poezyi, umilkła nagle i zarumieniona z błyszczącemi oczami, zbliżyła się do starszej kobiety, siedzącej z robótką przy oknie.

— Z czego się pani śmiejesz? — zapytała.

— Z ciebie, kochanie, — brzmiała szczera odpowiedź.

—Dlaczego? Czy deklamowałam tak źle?

— Pod wszelką krytyką Noro!

— Doprawdy? Trzeba przyznać, że sąd twój zachęcającym nie jest! — zawołała Nora, a jej wielkie, aksamitne oczy błysnęły smutnem rozczarowaniem.

— Zdawało mi się, — dodała ciszej, — że deklamowałam to tak, jak sławna miss Terry.

Gdyby nawet tak było, — odrzekła starsza kobieta, — to deklamacya twoja nie byłaby niczem innem, jak zręcznem naśladowaniem — gra zaś, nosząca na sobie cechę cudzej myśli, nie może być ani porywającą, ani genialną. Czy myślisz, że miss Terry naśladuje kogoś

— Teraz nie, ale z początku może i do tego uciekała się środka!

— Wątpię!

— A pani nigdy nie naśladowałaś innych? — rzekła Nora z złośliwym uśmiechem.

— Ja też nigdy nie należałam do pierwszorzędnych artystek. Pracowałam ciężko, byłam podobno ładna, ale co do zdolności, to nie były one zbyt wielkie!

— Ja też jestem ładną! — zawołała Nora.

Pani Clavering uśmiechnęła się.

— Nie przeczę temu, ale jeżeli chcesz powodzenie na scenie zawdzięczać tylko urodzie.....

— Wcale nie! Pani wiesz, że chcę być prawdziwą artystką, że chcę zachwycać ludzi moją grą, chcę wzbudzać w ich sercach uczucia i porywy szlachetne, chcę panować... czemu się pani śmiejesz?

— Bo ideału tego nigdy osięgnąć nie potrafisz! Jeżeli pójdziesz kiedykolwiek na scenę, nie wątpię, że piękność twoja zjedna ci powodzenie, ale...

— Takie powodzenie miałoby mnie zadowolić? Za nic w świecie nie chciałabym być bezduszną lalką!

— A jednak, wierzaj mi Noro, ty nigdy wielką artystką nie będziesz!

— Dlaczego?

— Bo nawet dla sztuki nie umiałabyś zapomnieć o sobie!

Piękna twarz dziewczęcia gorącym pokryła się rumieńcem.

— Więc dla tego wyraża się Gerald zawsze tak lekceważąco o moim zamiarze poświęcenia się zawodowi artystki? szepnęła.

— Ah, mówiłaś mu o tem?

— Tak, raz...

— I cóż ci powiedział?

— Zdaje mi się, że go to gniewało — nie nalegałam więc, nie powiedziałam, jak bardzo mi na tem zależy... Ale cóżby w tem było nadzwyczajnego? Moja matka była aktorką, a ile razy na pensyi odgrywałyśmy komedyjki, zachwycali się wszyscy moją grą!

— Ale przypuszczam, że nie samo powodzenie na występach na pensyi podsunęło ci myśl zostania aktorką!

— Nie!

— Więc co?

Nora zawahała się nieco.

— Co mi właściwie myśl tę podało — nie wiem, chociaż... Otóż powiem pani otwarcie — chcę zdobyć sobie stanowisko i majątek! To ciche, jednostajne życie męczy mnie! Pragnę zawsze mieć to, czego nie mam — chcę być bogatą — wielką panią...

— Albož aktorki są wielkiemi paniami?

— Naturalnie, nie jedna wychodzi za lorda lub księcia! — odrzekła Nora z błyszczącemi oczami. — A przez jeden wieczór doznawają tyle hołdów i uwielbienia, ile inne kobiety przez całe nie doznawają życie.

Pani Clavering patrzała uważnie na ożywioną zapałem śliczną twarzyczkę Nory. Rok już opiekowała się młodą dziewczyną a pomimo to przekonywała się coraz to więcej, że dotąd nie poznała jeszcze wcale jej charakteru. Wiedziała tylko tyle, że Nora niezmiernie była ambitną, dumną i próżną, i że te trzy uczucia rządziły wszechwładnie jej sercem i usposobieniem. Poczciwa kobieta nie mogła pojąć, że Nora, otoczona troskliwą opieką, nie czuje się szczęśliwą w tem cichem, uroczem gniazdku, zdobytem dla niej szlachetną pracą człowieka, który czynił wszystko co mógł, byle zapewnić jej niezależność i wszelkie wygody.

Piękność Nory przewyższała znacznie urodę jej matki, której pani Clavering długoletnią była przyjaciółką. Nie pociągała ona słodkim wdziękiem i urokiem nieśmiałości złotowłosej Nory Pole — była to raczej piękność pewna siebie, dumna, wyniosła, jak młoda królowa! Matkę przypominała tylko jasnemi włosami i ciemnomodremi, wielkiemi oczami, lecz twarz jej zupełnie inny miała wyraz.

Nora rzeczywiście zdawała się być stworzoną na wielką panią!

Wytworna, chociaż maleńka willa, wynajęta przez Geralda dla jego wychowanki, była podług zdania pani Clavering bardzo stósowną dla Nory. Cofnięta w głąb od ulicy, i przedzielona od niej ogródkiem, pełnym kwiatów, urządzona była wprawdzie skromnie, lecz nadzwyczaj gustownie. Niedawno podarował Gerald Norze mały powozik i kucyka, lecz to ją wnet znudziło. Otoczona zawsze opieką Geralda, otrzymując nieustannie dowody jego serdecznej troskliwości, zaczęła uważać dobroć i poświęcenie jego za coś, co jej się prawnie należało, i zamiast znaleść szczęście w uroczej ciszy ślicznego gniazdka, tęskniła do gwaru, hołdów i zabaw i wyobrażała sobie, że młodość jej i piękność marnują się tu bezużytecznie. Ile byłaby dała za to, gdyby fotografie jej stały w wszystkich oknach sklepowych, i gdyby gazety donosiły o jej elegancyi i piękności!

Nora czuła, że ambicya ta nie była szlachetną, a jednak nie mogła się wyrzec swych marzeń i życzeń. Truły one jej życie, prześladowały ją, odbierały spokój i przytłumiały niejedno uczucie wzniosłe i szlachetne w sercu dziewczęcia. Lecz jak złoto musi być czyszczone w ogniu, tak serce Nory, po próbie cierpień dopiero, miało odzyskać wrodzone zalety.

A kto czeka długo na cierpienie?

— — — — — — — — — — — —

Chłodny mrok wieczorny zapadał nad światem. Przeciągły świst lokomotywy dał się słyszeć w dali, zwiastując przybycie pociągu, a pół godziny później zapanował niezwykły ruch na ulicy Orde. Kupcy londyńscy, mający tu wille i domy, wracali po całodziennej pracy do rodzin, które z początkiem wiosny uciekały od zgiełku wielkomiejskiego, aby oddychać tutaj świeższem i zdrowszem powietrzem.

Gerald zdążał także do willi, w której mieszkała Nora.

— Wszakże pan Bryant, który przed dwoma dniami złożył wizytę pani, jest również aktorem, — pytała tymczasem Nora pani Clavering, nie odwracając głowy od kominka.

— Tak. Nie myślałam jednak, że go widziałaś, — odrzekła pani Clavering z wyraźnem niezadowoleniem.

— Widziałam go tylko przez okno, słyszałam jednak, jak pytał: „Co, to ma być córka Nory Pole?“ Widocznie nie mogło mu się to w głowie pomieścić. Powiedz mi pani, czy ja wcale do mamy nie jestem podobną?

— Ani odrobiny! Masz tylko kolor jej włosów i oczu.

— Dziwna rzecz! W takim razie muszę być podobną do ojca. Widziałaś go pani kiedy?

— Nigdy!

— Nie żył więc już, gdy poznałaś mamę?

— Gdy spotkałam matkę twoją po raz pierwszy, byłaś ty jedynym jej skarbem na świecie, — odrzekła pani Clavering serdecznie i tak oględnie, że dwuznaczność jej odpowiedzi wcale Norze nie podpadła. Modre oczy dziewczęcia napełniły się łzami, jak zwykle, gdy myślała lub mówiła o przedwcześnie zmarłej matce.

— Zdaje mi się, że ktoś wszedł do sieni, — rzekła pani Clavering, podnosząc głowę. — Może Gerald!

— Ah! doprawdy? — zawołała Nora, zrywając się, a twarz jej zajaśniała radością.

Do pokoju wszedł teraz rzeczywiście Gerald, a stęsknione oczy jego, zatrzymawszy się najpierw na uroczej postaci dziewczęcia, namiętnym i gorącym na widok jej zapłonęły blaskiem.

Nora pobiegła ku niemu z wyciągniętemi rękami.

— Geraldzie! — zawołała. — Jaką przyjemną niespodziankę zrobiłeś mi twem przybyciem! Jaka dobra wieszczka przywiodła cię tu dzisiaj!

— Czy rzeczywiście dobra? — odrzekł z uśmiechem, nie mogąc oderwać wzroku od rozpromienionej twarzyczki.

— Najlepsza! anielska! — zawołała wesoło, podczas kiedy Gerald, wypuściwszy drobne jej rączki z uścisku, zwrócił się do pani Clavering, witającej go w sposób nie tak może głośny, lecz niemniej serdeczny.

— Jak się to stało, że nie grasz dziś, Geraldzie? — spytała Nora po chwili.

— Vincent zastępuje mnie! — odrzekł, zbliżając się do kominka.

— Ach, doskonale! Pojedziemy jutro na spacer, będę sama powozić! Zobaczysz, jak znakomicie umiem kierować Apollem!

— Nie będę mógł podziwiać twej zręczności, dziś bowiem jeszcze muszę wracać do Londynu, — odrzekł krótko.

— Szkoda, — wtrąciła pani Clavering, patrząc badawczo na Geralda. — Wyglądasz pan tak mizernie, że krótki odpoczynek bardzo by ci był potrzebny.

— Może ty byłeś chory, Geraldzie? — zapytała Nora niespokojnie.

— Chory? Nie, ale zmartwiony byłem i jestem — chociaż nie — przeciwnie — cieszę się bardzo... — mówił Gerald bezładnie, i rozśmiał się przymusowo. — Na chorowanie czasu mi nie starczy!

— Przyjeżdżasz pan prosto z Southborough? odezwała się pani Clavering, składając robótkę. Przeczuwała ona, że ciężkie jakieś nieszczęście musiało spotkać Geralda.

— Tak, — odrzekł smutnie, poczem zmuszając się znowu do wesołości, dodał: Wiosna na dobre już się rozpoczęła — wszyscy chodzą z fiołkami po ulicach. Czemu nie masz ani fiołków ani konwalii, Noro?

Czerwone usta dziewczęcia skrzywiły się pogardliwie.

— Nie lubię takich pospolitych kwiatów, — odparła lekceważąco.

— A jednak wyglądałyby ładnie przy twej ciemnej sukni, — zauważył. Potem, pochylając się nad stolikiem, wziął rozłożoną książkę i rzekł: Któraż to z pań studyowała Lady of Lyons Lyttona?

Pani Clavering rozśmiała się i kładąc już rękę na klamce, odpowiedziała:

— Jak się panu zdaje, która z nas wyglądałaby lepiej w roli Pauliny? Niech ci na to odpowie Nora, ja tymczasem przygotuję herbatę, bo zdaje mi się, że potrzebujesz posiłku.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nią, ujęła Nora ręce Geralda i pociągnęła go przed kominek.

— Siadaj tu, — rzekła, stojąc przed nim, wysmukła i śliczna z rumieńcem na twarzy i blaskiem zapału w modrych oczach.

— Jak ja się cieszę, że przyjechałeś, Geraldzie! Tak bardzo tęskniłam za tobą!

— Doprawdy? Więc czemu nie pisałaś do mnie? Czy stało się tu coś nadzwyczajnego? Czy masz kłopot z jakim wielbicielem?

— O nie! Chociażbym miała stu wielbicieli, nie nudziłabym cię takiemi drobnostkami!

Nora nie domyślała się wcale, jakie uczucia dla niej zbudziły się oddawna już w sercu opiekuna. Nie przeczuwała jego szalonej, namiętnej miłości!

— Czy już straciłaś zaufanie do mnie? — pytał z uśmiechem, pomimo, że ból okrutny szarpał mu serce. — Może więc inne troski zechcesz powierzyć twemu opiekunowi! O co więc chodzi, Noro?

— Oto, że... że chciałabym zostać aktorką! Nie gniewaj się, Geraldzie! Pomyśl tylko, że nie mogę ci na zawsze być ciężarem.

— Chcesz zostać aktorką? Zkąd przyszłaś na tę myśl, kochanie?

— Nie wiem. Złożyło się na nią mnóstwo przyczyn!

— Więc jaki masz cel?...

— Chcę być sławną, uwielbianą, chcę mieć brylanty i koronki, chcę zdobywać oklaski i majątek!

— Szlachetny cel! — rzekł Gerald szyderczo.

— Moja matka była także aktorką!

— Tak, nie zapominaj przecież, że poświęciła się sztuce z innego jak ty powodu.

— Wiem — pracowała na chleb i ja też chcę — ja... —

— Czy możesz powiedzieć, Noro, sumiennie, że zależność dała ci się uczuć kiedykolwiek?

— Nigdy, nigdy! I też nie w tej mówiłam myśli! Owszem, jesteś zbyt nawet dobrym, zbyt szlachetnym, lecz właśnie to skłania mnie do zarabiania na własne utrzymanie! Ty pracujesz tak ciężko, bez wytchnienia, a ja używam owoców twej pracy. Czemu i ja nie miałabym coś zarobić? Pracowałabym z tobą razem!

Serce Geralda mocniej uderzać zaczęło. Nora chciała pracować z nim razem! Czy jednak byłaby szczęśliwą? Czy on ma prawo zatrzymać ją dla siebie, zachować dla siebie tę nad wszystko ukochaną istotę? Przecież i ona kochała go! Inną wprawdzie miłością, ale z czasem potrafi sobie zdobyć jej serce! Ach, gdyby nie ta nagła zmiana, gdyby nie to nowe, a tak zupełnie inne życie, otwierające się przed nią, jakie szczęście mógłby sobie zapewnić w przyszłości! Od dawna już łudził się nadzieją, że po dziesięciu latach mozołu i poświęcenia się dla niej, wolno mu będzie usłać wytworne gniazdeczko i złotą swą umieścić w nim ptaszynę — że wolno mu ją będzie kochać i uwielbiać jawnie, i że w zamian za to otrzyma jej miłość. Myśl ta dodawała mu siły i odwagi i jak gwiazda przewodnia błyszczała na tle smutnego, sierocego życia. Dziś wszystko się zmieniło — dziś musi się wyrzec osobistego szczęścia i oddać ukochaną dziewczynę wujowi, który dotąd nic o niej nie chciał wiedzieć! Przed dziesięciu laty rzucił ją na łaskę obcych ludzi, a dziś zabiera, jak swoją własność!

Miłość wielka, jaką ją ukochał, nie zaślepiała go jednak co do wad Nory. Wiedział, że jest dumna i uparta, gwałtowna i namiętna, trochę kapryśna, lecz do tych stron ujemnych łączyła się niezmierna szczerość uczuć, która nigdy by się kłamstwem nie splamiła i tkliwość prawdziwie niewieścia. Zresztą była tak cudownie piękną, że ujemne strony charakteru każdy by jej chętnie wybaczył.

Tak przynajmniej myślał Gerald, patrząc na wysoką, zgrabną postać młodej dziewczyny, stojącej w blaskach ognia kominkowego. Delikatne rysy twarzy, płeć biała, lekkim zabarwiona rumieńcem, małe, czerwone usta i prześliczne modre oczy — wszystko to tworzyło całość, godną pendzla Tycyana. Skromna, lecz ładna suknia codzienna nie odejmowała jej nic uroku, przeciwnie, nawet, wydawała się Geraldowi tak piękną w tej chwili, że nie pojmował, jaką będzie wśród wspaniałego otoczenia w pałacu lorda Elsdale. Czy miliony uczynią ją szczęśliwą? Czy potrafią życie jej zachować czystem i prawem, jakiem było dotąd, pod troskliwą opieką pani Clavering? A może nauczą ją tam, aby za pomocą swej piękności starała się zdobyć wyższe jeszcze stanowisko i sprzedała się za tytuł lub większy majątek! Może wpoją w nią zasadę, że najwyższą ambicyą kobiety ma być królowanie na balach i podbijanie serc męzkich. Może

uczynią z niej istotę światową i lekkomyślną, niepomną na szlachetniejsze cele życia!

Czy on, jej dotychczasowy opiekun, nie powinien jej ustrzedz od podobnego losu?

Gerald zerwał się z fotelu i zaczął chodzić po pokoju. Wiele lat później, przypominając sobie tę chwilę, nie umiał rozstrzygnąć, czy nie lepiej było iść za popędem serca i wypowiedzieć słowa, cisnące mu się na usta.

Teraz jednak siłą woli potrafił je powstrzymać i przytłumić walkę w sercu. Nie mógł przecież być tak nikczemnym, aby żądać od wdzięczności jej tego, czego miłością swoją, chociaż głęboką i gorącą, zdobyć nie potrafił. Żądać za długoletnią opiekę jej serce, którego mu dobrowolnie nie oddała — byłoby podłością, na jaką szlachetna dusza Geralda wzdrygała się mimowoli. Nie — nie miał prawa zatrzymywać jej dla siebie, wyzyskując niewinne uczucie, jakie miała dla niego — nie powinien przykuwać łańcuchem obowiązku motylka wolnego po to, by niezadowolony i świadomy wolności, czekającej na niego w pałacu wuja, złorzeczył mu później...

A jednak... a jednak...

Przez jednę tylko chwilę żałował, że przed dziesięciu laty zgłosił się do lorda Elsdale, dając mu wiadomość o istnieniu bratanki, lecz zaraz potem wyrzucał sobie ostro tę myśl nieszlachetną. Kochając ją nad wszystko w świecie, musiał się pogodzić z myślą rozstania się z nią — odtąd drogi ich życia rozbiegną się na zawsze!

Nora, śledząca go uważnie i wzruszona wyrazem bólu i smutku na jego twarzy, zbliżyła się do niego i drobną rączkę wsunęła mu pod ramię.

— Gniewasz się, Geraldzie? — szepnęła słodko, przyciskając się do jego ramienia. — Cofam już to, co powiedziałam, zapomnij o tem, proszę! Tylko nie gniewaj się już na mnie!

— Więc nie czujesz się tu szczęśliwą, Noro?

— Naturalnie! Trudno mi jednak czasem oprzeć się jakiejś tęsknocie i niezadowoleniu! Smutno nam tutaj — jesteśmy zawsze same — ty tak rzadko przyjeżdżasz! Geraldzie — gdybyśmy mieszkali razem, gdybyś mnie zechciał zabrać ze sobą — wtedy byłabym zupełnie szczęśliwą! Powiedz mi, czemu ty się nigdy nie chcesz na to zgodzić?

— Cicho — dziecko drogie, — zawołał drżącemi ustami. — Moje życie wędrowne nie byłoby stosownem dla ciebie.

— Dlaczego? Wszakże moja matka jeździła też po świecie i była samą!

— Tak, ale była inną, jak ty! Posiadała dwa moralne puklerze, zasłaniające ją od wszelkiego niebezpieczeństwa: ciebie i wielką, chociaż nieszczęśliwą miłość w sercu!

— Miłość dla mego ojca? opowiedz mi o nim, — prosiła Nora żywo, — nigdy mi jeszcze o nim nie mówiłeś!

— Nie umiałbym cię też w niczem objaśnić, — odrzekł jej wymijająco. — Powiedz mi jednak, Noro droga, czy nie możesz być szczęśliwą bez zabaw i majątku?

— Owszem, bylebyś ty zawsze był przy mnie, — odrzekła uśmiechając się i patrząc mu w oczy z taką niewinnością i swobodą dziecięcą, że nie można było wątpić o jej nieznajomości uczuć Geralda.

Aktor nagłym i szorstkim ruchem uwolnił swe ramię od zaplecionych rączek dziewczęcia i odsunął ją lekko od siebie. Chwilę jeszcze, a byłby wymówił słowa, nie dające się odwołać i mogące zmienić całą ich przyszłość. Twarda szkoła życia nauczyła go jednak tak silnego panowania nad sobą, że zaraz potem uśmiechnął się i rzekł spokojnie:

— Pragniesz więc być uwielbianą i podziwianą, chcesz mieć majątek? Dla tak ładnej jak ty dziewczyny, nie jest nic niemożliwego — zresztą dobra jakaś wieszczka wysłuchała twe życzenia — bo oto w tej chwili miliony czekają już na ciebie! Potrzebujesz tylko wyciągnąć rękę, a przyjdą same do ciebie!

— Miliony? Ej, nie żartuj ze mnie!

— Nie żartuję! Jeżeli chcesz, możesz je mieć natychmiast!

— Geraldzie, czy oddziedziczyłeś jaki majątek?

— Ja? Nie! Miliony twoją będą własnością!

Nora zbladła.

— Geraldzie!...

— Tak, dziecko drogie, będziesz teraz jedną z najbogatszych panien w Anglii. Z historyą twego spadku łączą się szczegóły, o których wiedzieć nie powinnaś i wiedzieć nie potrzebujesz, czego ci więc nie powiem, o to nie pytaj! Wspomniałaś przed chwilą twego ojca — odpowiedziałem ci, że nie wiele wiem o nim — ale to nie było szczerą prawdą. Lionel Hatton był nietylko arystokratą, ale nadto pochodził z rodziny niezmiernie bogatej. Czy mam mówić dalej, Noro?... Czemu drżysz, kochanie? Przecież nie opowiadam nic przykrego dla ciebie!

— Nie, nie, mów tylko dalej, Geraldzie!

— Ojciec twój poślubił kobietę, która podług zdania ludzi niższą była od niego urodzeniem — lecz to był anioł, któremu najszlachetniejszy nawet mężczyzna nie byłby pod względem cnót i przymiotów dorównał. Małżeństwo to zostało zawartem w tajemnicy i nigdy im szczęścia nie przyniosło. Jeszcze ciebie na świecie nie było, gdy się rozłączyć musieli. Każde z nich osobną poszło drogą. Miałaś lat siedem, gdy matka twoja umarła, ale myślę, że pamiętasz, jaką cię otaczała zawsze miłością i troskliwością. Ojciec twój nie żył — ona więc jedyną twoją była opieką, a gdy umarła....

— Pozyskałam najlepszego w świecie opiekuna, — zawołała Nora z uczuciem nieograniczonej wdzięczności i znów oparła ręce na jego ramieniu. — Czy myślisz, że zapomnę kiedy w życiu o tem, co uczyniłeś dla mnie i co ciągle jeszcze czynisz?

— Nie, wiem, że nie zapomnisz o mniemanym długu wdzięczności, przypuszczam jednak, że nowe twoje życie pogrąży i mnie i całą przeszłość twoją w morzu niepamięci! Więc — wszystko, czego pragnęłaś — otrzymasz teraz! Brat rodzony twego ojca, lord Elsdale, zamierza cię adoptować i zapisać ci cały majątek! Jest to człowiek stary, który utracił wszystkie swoje dzieci, a dziś — Noro, czy ty słyszysz, co mówię?

— Tak — szepnęła jak nieprzytomna, — słyszę, lecz nie mogę...

— Nie rozumiesz mnie może — drżącym mówił głosem, — ale tak jest rzeczywiście! Stryj twój pragnie, abyś zajęła teraz miejsce jego córki i abyś odziedziczyła ogromny jego majątek. Będziesz wielką panią Noro, i...

— Nie może być! Ja — bogatą — bratanką lorda — Geraldzie — czy to żart okrutny — — wyjąkała bez tchu nieomal.

— Nie! Przestraszyłem cię może tą wiadomością, ale wiedząc, jak pragniesz — — się ztąd wydostać...

Nie wspomniał o tem, że wiadomość ta pozbawiała go całej nadziei szczęścia! I twarz wyrażała tyle bólu, tyle rozpaczy, że Nora patrząc na niego, zrozumiała, jak ciężką była ta chwila dla niego. Zrozumiała też, co sama traci, poznała wartość skarbu, jakiem było serce tego człowieka, i uniesiona wdzięcznością i czułością, objęła szyję jego białemi rączkami.

— Noro! Noro ukochana! — szepnął Gerald, przyciskając ją lekko do serca. — Dziecko moje!

(Ciąg dalszy nastąpi).

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

— Ah, kanalia, trafił w samo serce! Uczyłeś się więc celować, Ganimard? Szkoda króla! w samo serce!

— Poddaj się, Lupin, ryczał Ganimard, którego rewolwer wystawał przez otwór zrobiony we drzwiach, równocześnie ukazały się błyszczące oczy... Poddaj się, Lupin!

— A gwardya, czy się poddaje?

— Jeżeli się ruszysz, zabiję cię jak psa...

— Przecież stamtąd nie możesz mnie dosięgnąć!

Rzeczywiście Lupin ustawił się w takiej pozycyi, że Ganimard, ani doń celować, ani strzelać nie mógł.

Lecz położenie Arsena Lupin nie było do pozazdroszczenia, gdyż drzwi ukryte w tryptyku, na które liczył, znajdowały się naprzeciw Ganimarda. Chcąc uciekać, byłby się wystawił na niechybną śmierć, bo w rewolwerze policyanta zostawało jeszcze pięć kul.. .

— Do kaduka, rzekł śmiejąc się Lupin, moje akcye spadły. Dobrze mi tak, chciałem mieć na ostatku sensacyę i linę za bardzo nadciągnąłem. Nie trzeba mi było tyle gadać!

Przycisnął się do muru. Pod naciskiem ludzi, jeszcze jedną deskę wyrwano, i Ganimard mógł się swobodniej poruszyć.

Najwyżej trzy metry dzieliły przeciwników. Lecz Lupin ukrył się za etażerkę z pozłacanego drzewa.

— Do mnie, Beautrelet, krzyczał stary policyant, zgrzytając z wściekłości zębami. Strzelaj do niego, zamiast stać bezczynnie!...

Izydor dotychczas nie ruszył się, niezdecydowany. Całą siłą byłby się chciał wmieszać do walki, i zdusić nieprzyjaciela, który był na jego łasce i niełasce. Lecz jakieś niewytłomaczone uczucie powstrzymywało go.

Dopiero nawoływanie Ganimarda wstrząsnęło nim. Palce położył na odwiedzionym kurku rewolweru.

— Jeżeli ja się wmieszam, pomyślał, natenczas Lupin przepadł... lecz mam przecież prawo... to mój obowiązek...

Oczy ich spotkały się. Oczy Arsena Lupin były spokojne i uważne, prawie ciekawe, jak gdyby w tej niebezpiecznej chwili zajmowała go jedynie moralna walka, którą staczał ze sobą młody człowiek. Czy Izydor zdecyduje się strzelić do niego?

W tejże chwili drzwi pękły od dołu do góry.

— Do mnie, Beautrelet, trzymamy go, ryczał Ganimard.

Izydor uniósł rewolwer.

To co się teraz stało, było tak błyskawiczne, że dopiero później Beautrelet rzecz jasno pojął. Widział jak się Lupin schylił, jak przebiegł wzdłuż muru, prześlizgnął się koło drzwi, tuż pod bronią, którą na próżno Ganimard chciał ku niemu skierować. Następnie, on, Beautrelet, czuł się powalonym na ziemię, lecz również szybko silne ramiona uniosły go w górę.

Lupin trzymał go w powietrzu jak tarcz żywą, poza którą chował się.

— Dziesięciu przeciw jednemu, a jednak ucieknę, Ganimard! Widzisz, Lupin zawsze da sobie radę....

Z nadzwyczajną szybkością cofnął się do tryptyku. Trzymając jedną ręką Izydora przed swoją piersią, drugą ręką otworzył ukryte wejście i zatrzasnął za sobą małe drzwiczki.

W tejże chwili ukazały im się schody, które prostopadle schodziły.

— Idź-że, rzekł Lupin, popychając Izydora Beautrelet, wojsko na lądzie pobite... zajmijmy się flotą... Ah! śmieszni, wyrąbują teraz tryptyk!... Za późno... Lecz spiesz, Beautrelet...

Schody wykute w samej korze skały, kręciły się jako wąż w około piramidy.

Jeden popychając drugiego, biegli po dwa lub trzy stopnie. Od czasu do czasu snop światła przedzierał się przez szczeliny i Beautrelet widział jak we śnie łodzie rybackie o kilkanaście sążni i czarność torpedowca...

Schodzili, schodzili bez końca, Beautrelet milcząco, Lupin gadając bezustannie.

— Ciekaw jestem co robi w tej chwili Ganimard? Czy biegnie drugiemi schodami do tunelu, aby mi odciąć odwrót? Nie taki on głupi... Pewnie tam zostawił na straży ze czterech ludzi... a czterech ludzi wystarczy...

Zatrzymał się.

— Słuchaj... krzyczą u góry... otworzyli pewnie okno i porozumiewają się ze swoją flotą... Oh patrz, łodzie poruszają się... dają sobie znaki... torpedowiec się rusza... Zacny torpedowiec! znam cię, pochodzisz z Havru... Kanonierzy stoją na swoich posterunkach... Do pioruna, a toć to komendant... Dzień dobry, Duguay-Trouin.

Rękę przesunął przez otwór i powiewał chustką. Następnie szedł dalej.

— Flota nieprzyjacielska ostro wiosłuje, rzekł. Grozi im zderzenie. Boże! jak ja się bawię!

Usłyszeli głosy pod sobą. W tym momencie znajdowali się równo z powierzchnią morza i wyszli do obszernej pieczary, w której dwie latarnie poruszające się, widniały w ciemnościach.

Kobiecy cień wysunął się, i wpadł w objęcia Arsena Lupin.

— Prędzej... prędzej! byłam niespokojna!... Cóżeś tam robił?... Jakto nie jesteś sam?...

Lupin uspokoił ją.

— To nasz przyjaciel Beautrelet... Wyobraź sobie, że nasz przyjaciel Beautrelet miał tę delikatność... lecz innym razem to ci opowiem... nie mamy wiele czasu... Karolu, jesteś tam?... dobrze... A łódź?

Karol odpowiedział:

— Łódź gotowa.

— Zapal, rzekł Lupin.

Po małej chwili dało się słyszeć dyszenie motoru, i Beautrelet przywykłszy do ciemności, rozpoznał, że znajdują

się na małej przystani, tuż nad brzegiem wody, na której bujała łódka.

— Łódź automobilowa, objaśnił Lupin. Dziwi cię to, co, mój stary Izydorze... Nie rozumiesz tego... Zastanów się tylko... Jak widzisz, woda, która się tutaj znajduje, jest woda morska, która za każdym przypływem napełnia tę grotę, wskutek tego posiadam więc przystań pewną i niewidzialną...

— Lecz zamkniętą, odrzekł Beautrelet. Nikt nie może do niej wejść, i nikt wyjść nie potrafi.

— Ja potrafię, rzekł Lupin, i pokażę ci zaraz.

Pomógł wsiąść Rajmundzie, następnie wrócił po Izydora Beautrelet. Ten ostatni wahał się.

— Boisz się? spytał Lupin.

— Czego?

— Być zatopionym przez torpedowiec.

— Nie.

— W takim razie pytasz się, czy obowiązkiem twoim nie jest pozostać przy boku Ganimarda, to znaczy, przy prawie, opinii i moralności, czy pozostać przy mnie, to znaczy, przy wstydzie, infamii i hańbie.

— A właśnie.

— Na nieszczęście, mój drogi, nie masz wyboru... Chodzi mi o to, aby nas miano za umarłych, nas, obydwóch,.. aby mi dano spokój, którego potrzebuję jako przyszły uczciwy człowiek. Później, jak cię puszczę na wolność, możesz tyle mówić, ile zechcesz... nie będę już potrzebował niczego się obawiać.

Sposób w jaki Lupin trzymał Izydora za ramię, przekonywał go dostatecznie, że opór nic mu nie pomoże. A potem, dlaczegoż miałby się opierać? Czyż nie odnalazł i nie wydał Igły? Cóż go reszta obchodzić może? Czyż nie ma prawa iść za pociągiem sympatyi, którą mimo wszystko, czuł dla tego człowieka?

Uczucie w nim było tak jasne, że miał ochotę powiedzieć Arsenowi Lupin:

— Słuchaj, czeka cię inne niebezpieczeństwo, poważniejsze: Sherlock Holmes wpadł na twój ślad...

— Dalej, chodź, rzekł doń Lupin, nim zdołał uformować powyższe zdanie.

Usłuchał i pozwolił się poprowadzić aż do łodzi, której kształt wydał mu się dziwaczny i wygląd niespodziewany.

Gdy znaleźli się na mostku, zeszli po stopniach zupełnie prostopadłych, rzekłbyś po drabce, opartej o wieko, które się za nimi zatrzasło.

Znaleźli się w bardzo małej i wązkiej kajucie, ostro oświetlonej, w której znajdowała się już Rajmunda. Tyle właśnie było miejsca, że wszyscy troje usiąść mogli.

Lupin zdjął tubę akustyczną i rozkazał:

— W drogę, Karolu.

Izydor miał nieprzyjemne uczucie, podobne jak ci, którzy windą zjeżdżają na dół, uczucie usuwającej się ziemi, uczucie próżni. Tym razem usuwała się woda i zapadali się, powoli...

— Toniemy, co? zaśmiał się ironicznie Lupin. Uspokój się... Musimy tylko z tej pieczary, w której się znajdujemy, zjechać do innej mniejszej, wpół otwartej, do której można dojechać tylko w czasie odpływu morza... Zresztą wszyscy zbierający muszle znają tę pieczarę... Dziesięć sekund... a przejedziemy, otwór jest bardzo ciasny, taki właśnie, że nasza łódź podwodna przejedzie...

— Lecz, jakże to możliwe, spytał Beautrelet, że rybacy, którzy wchodzą do dolnej pieczary, nie zauważyli, że pieczara ta przebita i łączy się z drugą, w której znajdują się schody prowadzące do wnętrza Igły? Prawda przecież znajdowała się tak blizko!

— Mylisz się, Beautrelet! Sklepienie owej małej pieczary jest zamknięte w czasie odpływu morza, za pomocą ruchomego sufitu, pomalowanego na kolor skały, który to sufit woda unosi, gdy przybywa, a zamyka hermetycznie, gdy ubywa. Dlatego to podczas przypływu mogę przejechać... Nie jest to sprytnie obmyślane... co?... Prawdę powiedziawszy, ani Cezar, ani Ludwik XIV, wogóle żaden z moich poprzedników, nie mogli czegoś podobnego wymyślić, gdyż nie znali łodzi podwodnej... Zadowalali się schodami, które prowadziły, aż do dolnej pieczary... Lecz ja, skasowałem ostatnie stopnie schodów i wynalazłem ruchomy sufit... Podarunek, który robię Francyi... Rajmundo, moja droga, zagaś lampę, która znajduje się przy tobie... nie potrzebujemy jej... przeciwnie...

Rzeczywiście, słabe światło, rzekłbyś koloru wody, ogarnęło ich po wypłynięciu z pieczary, przez dwa boczne okienka i przez oszklony otwór w powale, który pozwalał kontrolować górne części morza.

W tejże chwili jakiś cień przesunął się nad nimi.

— Natarcie rozpoczyna się. Flota nieprzyjacielska opierścienia Igłę... Lecz mimo, że jest pusta i wydrążona, zapytuję się w jaki sposób chcą do niej wejść...

Zbliżył usta do tuby:

— Nie opuszczajmy dna, Karolu... Dokąd płyniemy? Przecież mówiłem ci... do portu Arsena Lupin... a z całą szybkością, musi być tam przecież woda, aby módz wylądować... mamy panią ze sobą...

Jechali tuż nad skalistem dnem. Trawy morskie potrącone, wyprostowywały się, a ostry prąd kołysał niemi i rozciągał je, jak włosy, gdy pływają.

Dłuższy cień zawisł nad nimi.

— To zapewne torpedowiec, rzekł Lupin... armaty odezwą się niebawem... Cóż zrobi Duguay-Trouin? Czy będzie bombardował Igłę? Co my tracimy, Beautrelet, że nie możemy być obecni przy spotkaniu się Duguay-Trouin z Ganimardem! Połączenie sił morskich z siłami lądowemi!... Hej, Karolu! ty śpisz, poczciwcze!...

Po skalistem dnie ukazał się piasek, później znowu skały, znacząc przylądek od Etretat, łuk d'Amont.

Ryby przestraszone uciekały za zbliżeniem się podwodnego statku. Jedna z nich odważniejsza przyczepiła się do bocznego okienka, i patrzała nieruchomemi swemi wyłupiastemi oczyma.

— To mi się podoba, rzekł Lupin, teraz przynajmniej widać, że jedziemy... Co mówisz Beautrelet, o mojej łupince? Nie zła, co?...

Zawołał przez tubę:

— Wyjedźmy teraz na powierzchnię, Karolu... Już nam nie grozi niebezpieczeństwo...

Jak piłka podskoczyli w górę i oszklone wieko ukazało się nad wodą.

Znajdowali się co najmniej o milę oddaleni od brzegu, i Beautrelet poznał dopiero, z jaką zawrotną szybkością jechali.

Tak więc minęli Fécamp, następnie wszystkie plaże normandzkie: Saint-Pierre, Petites-Dalles, Veulettes, Saint-Valery, Veules, Quibervoille.

Lupin kpinkował bezustannie, a Izydor nie mógł się dosyć napatrzeć i nasłuchać, zachwycony werwą tego człowieka, jego wesołością, łobuzeryą i jego radością życia.

(Dokończenie nastąpi).





Wśród walki z losem.

27) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— Walenty! — krzyknął Percy z niepohamowaną gwałtownością — serce moje uderza podwojonem tętnem, gdy tylko wspomnę jej imię. Ja oszaleję w końcu dla niej. Jej porywająca piękność olśniewa oczy moje, a przekonanie, że miłość moja jest bez nadziei, do rozpaczy mię przywodzi i mąci równowagę umysłu. Wiem aż nadto dobrze, niestety, że widok mej osoby jest jej niemiłym i dlatego nie narzucam jej się, i trzymam się z daleka, o ile to leży w mej mocy — lecz patrzeć tylko na nią jest już niebem dla mnie. — Porwał się z krzesła i począł gwałtownemi krokami chodzić po pokoju.

— Gdybyś ty miał jakie poważne zajęcie, byłoby to dla ciebie rzeczą zbawienną. To egzaltacya! ozwał się Walenty po chwili.

— Ach, ty nie znasz prawdziwej miłości.

— Nie, nie znam, jeżeli twoja ma być jej próbą.

— Ty kochasz Florę naturalnie po swojemu, na zimno, poważnie, z uszanowaniem. Ale nie poświęciłbyś dla niej życia, nie popełniłbyś zbrodni, nie odważyłbyś się na wszystko dla niej.

— Nie, tegobym naturalnie nie zrobił — rzekł śmiejąc się Walenty. — Gdyby do szczęścia jej dopiero mej śmierci było potrzeba, tem lepiej dla mnie, że taką rybią mam naturę. Jestem spokojny i odważnie patrzę w przyszłość.

— O, Walku, czy nie przypuszczasz, że mogę mieć jakiekolwiek widoki? — zawołał biedny młodzieniec w najwyższej rozpaczy.

— Tego przewidzieć nie podobna. Kobieta jest zagadką. Na twem miejscu nie zrezygnowałbym z powodu kilku obojętnych słówek lub spojrzeń.

— Nie traciłbyś nadziei?

— Nie.

— O, dzięki ci za te słowa — zawołał Percy ściskając gorąco dłoń przyjaciela. — Czy uwierzysz mi, Walku, że przed półgodziną czułem zawiść ku tobie i proszę cię z całego serca o przebaczenie. Nieprzyjemnie mi było, widząc, jakeście wzajemnie patrzyli sobie w oczy, jakoby w niemem porozumieniu, w którem nikt inny nie ma udziału. Zdawało mi się to być zapowiedzią rodzącej się pomiędzy wami miłości, dopóki nie przyszło mi na myśl twe przywiązanie do mej siastry i twój prawy, zacny charakter.

— Dziękuję ci za tak wysokie wyobrażenie o mym charakterze — rzekł Walenty po chwili milczenia. — Mam nadzieję, że nigdy mych powinności tak względem siebie samego, jak i względem mych bliźnich nie zapomnę, — chociażby tym bliźnim miała być jaka osobliwie piękna kobieta — dodał wesoło.

Towarzystwo znajdujące się u mrs. Merrick nie zasługiwało bynajmniej na tak niekorzystną krytykę, na jaką sobie syn niewdzięczny pozwolił. Panowało tam mniej formy i etykiety, a za to nieskończenie więcej szczerości i swobody, niż w towarzystwach londyńskich, do których uczęszczał. Było to zebranie przyjaciół według starej szkoły, gdzie pani domu czyniła wszystko, by gościom pobyt w swym domu uprzyjemnić i cieszyła się szczerze, że się tak licznie zebrali i bawili wesoło. Ale Walenty czuł dobrze, że przyjaciele matki jego nie odpowiadali jego wymaganiom; on należał do nowego świata, a świat ten lepiej mu do gustu przypadał. Mimo to jednakże tak Walenty, jak Percy umieli doskonale zastósować się do niego. Chociaż go niejedno raziło, umiał się tak dobrze zamaskować, tak się szczerze i wesoło bawił, iż nikt, z wyjątkiem Percego Andison nie domyślał się, iż gra tylko komedyę. Po niejakim czasie zapomniał zupełnie o swej roli i spostrzegł, że się w rzeczywistości doskonale bawi. Przekonał się, że rozmowa z Heleną Barklay ma wiele uroku, i że patrzeć na nią, jak się uwija pomiędzy gośćmi, by ich jak najlepiej zabawić, jest wielką przyjemnością.

Helena Barklay ukazała się tu w zupełnie nowem świetle. Piękna, ożywiona, pełna wdzięku młoda kobieta wystąpiła z ponurych cieniów niepowrotnie minionej przeszłości, lica jej żywsze barwiły rumieńce, ciemne oczy jaśniały wesołym blaskiem.

— Jaka ona piękna, jaka urocza — szeptał Percy do ucha Walentemu. Jak nieskończenie odmienna od wszystkich innych.

— Tak, bardzo odmienna od innych — przytwierdził Walenty.

— Jak dźwięczny i harmonijny jest jej śmiech — mówił dalej Percy z wzrastającym zapałem. — Nie słyszałem jej jeszcze dotąd śmiejącej się.

— I ja także nie.

— Któż to jest ten pan w wielkim białym krawacie, który za nią jak cień chodzi?

— To nieznośny natręt. Ona go cierpieć nie może i tylko przez grzeczność znosi jego towarzystwo, dzięki Bogu.

— Dlaczego dziękujesz za to Bogu?

— Nie chciałbym przecie, by nasza Helena miała się dostać takiemu jak ten oto półgłówkowi.

— Och, zapewne.

— Ona musi wyjść za takiego, który ją pokocha dla niej samej, a nie dla jej pieniędzy.

— Ach, — zawołał Percy — więc się już taki znalazł?

— Wątpiszże o tem, by się znalazł ktoś zdolny do takiego romantyzmu? — zaśmiał się Walenty. — Na Jowisza! muszę jej to powtórzyć.

— Na Boga, co chcesz uczynić! — zawołał Percy nie zrozumiawszy żartu przyjaciela, który szybko powstał z krzesła i podszedł wprost do Heleny siedzącej w drugim końcu pokoju. Wrócił w kilka minut i rzekł:

— Mrs. Barklay będzie bardzo przyjemnie.

— Przyjemnie? Cóż takiego?

— Być twoją partnerką. Urządziłem właśnie partyę wista.

— Jakżem ci wdzięczny, Walku! Jesteś moim prawdziwym przyjacielem. Ale ty także należysz do partyi? — zapytał Percy.

— Nie, ja muszę chodzić z kąta w kąt i uważać na potrzeby gości. Jestem dzisiaj na służbie u mej matki, muszę przeto zajrzeć wszędzie, nawet do kuchni, by wszystko było w należytym porządku. Nie pytaj więc o mnie, jeżeli mnie nie będziesz widział.

Percy pospieszył do stolika wistowego i wkrótce zapomniał zupełnie o Walentym. Nie spostrzegł przeto, jak tenże usadowiwszy się w przeciwległym kącie pokoju wpatrywał się długo i uważnie w niego i Helenę, a oczy jego miały wyraz tak wielkiego bólu, że aż matka jego uderzona niezwykłym widokiem syna przystąpiła do niego i kładąc rękę na jego ramieniu, zapytała: Co ci się stało, Walku, żeś tak posmutniał, czy się nudzisz?

— Bynajmniej. I owszem, przeciwnie, bawię się doskonale.

— Czy to tylko prawda, Walku?

— Ależ tak.

— No, to dobrze, obawiałam się, że ci z nami niemiło.

Udało mu się łatwo uspokoić matkę zapewniając ją, że się bawi jak najlepiej. Przyłączył się też później do wista, który trwał aż do kolacyi i spostrzegł z radością, że Helena go szuka.

— Powiedziała mi matka pańska, że pan i mr. Andison macie zamiar wrócić ostatnim pociągiem do Londynu — rzekła.

— Albo pierwszym lepszym wozem, który nam się uda nająć. — Dlaczegobyśmy wogóle mieli tutaj siedzieć? Jesteśmy całkiem zbyteczni.

— Percy Andison nie życzy sobie bynajmniej opuścić nas tak wcześnie.

— Czy być może! — zawołał z udanem zdziwieniem. — No, to zostawię go w dobrych rękach i pojadę do Londynu w towarzystwie własnej mej osoby. — Powinienem był pomyśleć o tem wcześniej.

— O czem takiem powinieneś był pan pomyśleć?

— No, o tem, że przecież Percy będzie wolał pozostać w owem niebie, a ja go od tego nieba chciałem oderwać. Nie zdradźże mię pani przypadkiem, chciałbym się wymknąć cichaczem, by nikt nie zauważył mej nieobecności.

— Bardzo coś panu spieszno.

— I nie wiele zdajesz się zważać na przyrzeczenie, które dałeś dzisiajszego popołudnia — dodał Walenty.

— I mnie się tak zdaje.

— Ale Percy —

— Dlaczego mięszasz pan do tego ustawicznie imię pana Andison? — zawołała. — Co on mnie obchodzi i co ma wspólnego z tem, że pan chcesz tak nagle uciekać z domu swej własnej matki?

— Ponieważ on czuje się tu szczęśliwym, ja nie. — Czy wolno mi to powiedzieć?

— Gdy to jest prawdą — rzekła Helena ze smutkiem.

— Na honor! — rzekł śmiejąc się Walenty nie chciałbym być fałszywym prorokiem, ale zdaje mi się, że jest szczęśliwym dzisiaj.

— Tak się panu zdaje? — było obojętne pytanie.

— Jakże by nim być nie miał? Czegożby mu jeszcze niedostawało? — Pani jesteś tutaj i dla pani tylko przybył do Richmond.

— Czy powiedział to panu?

— Nie miałem potrzeby pytać go o to. Pani znasz jego tajemnicę tak dobrze, jak ja.

— Pierwsza dowiedziałam się o niej.

— W czasie, gdy....

— O, milcz pan! — zawołała Helena, a twarz jej powlokła się śmiertelną bladością. — Czas ten jest tak dobrze niezapomniany, jak rycerski postępek nierozważnego młodzieńca. Dla Percego Andison zachowam na wieki uczucie niewygasłej wdzięczności, ale....

— Ale co? zapytał.

— Ale nigdy innych uczuć dla niego mieć nie będę.

— Możeszże to pani twierdzić z całą pewnością?

— Szanuję i cenię wysoko mr. Andison.

— Tem lepsze dla niego widoki.

— Z podziwienia godną gorliwością bierzesz pan stronę swego przyjaciela — mówiła nieco rozdrażniona. — Czy pan w rzeczy samej masz to przekonanie, iż związek ten utrwaliłby jego i moje szczęście? — Pan widzisz, że mówię otwarcie.

Walenty zamilkł. Nie był przygotowany na tak wyraźne pytanie, natomiast jej niecierpliwość, a nawet gniew sprawiały mu przyjemność.

— Dlaczego mi pan nie odpowiadasz? — rzekła prawie wyzywająco.

— Ponieważ właśnie namyślałem się nad tem — odpowiedział — i przyszedłem do przekonania, że powinnaś pani wyjść za niego. Tak, mrs. Barklay, cieszyłbym się, gdybyś pani została żoną Percego Andison.

— Powiedziałeś mi to pan już dawniej — odrzekła szybko. — Ale dlaczego cieszyłbyś się pan, gdybym została żoną Percego Andison? Czy dlatego, że jestem intruzem w domu jego matki?

— O, jak możesz pani przypuszczać coś podobnego! Pani, którą ona tak kocha!

— Czy tak jest w rzeczy samej? Czy powiedziała, że mię kocha? — pytała gorączkowo.

— Możesz pani wątpić o tem?

— A więc tu jest mój dom. Po co mam szukać innego, skoro tu miłość, spokój i pociechę znajduję?

— Czas przecież nie stoi spokojnie, ale bieży wciąż naprzód i zmiany z sobą przynosi — odpowiedział ze smutkiem. Nadejdzie chwila, gdzie to drogie, szanowne oblicze zniknie z pośród nas i pani pozostaniesz sama wśród świata i fałszywych przyjaciół.

— Fałszywych przyjaciół?

— Pochlebców, chciwych twego złota, którzy cię będą okłamywali zapewnieniami swej obłudnej przyjaźni. Dlatego pragnę cię widzieć pod opieką zacnego, prawdziwie kochającego cię człowieka, który kiedyś w przyszłości wysokie stanowisko zajmować będzie w społeczeństwie.

— Pan jesteś jego przyjacielem i posiadasz jego zaufanie — badała Helena.

— Tak jest, jestem jego przyjacielem, z tem wszystkiem twierdzić nie mogę, bym posiadał jego całkowite zaufanie, jednakże...

— Jednakże to, co panu o mnie mówił, wypowiedziałby w przepełnieniu swego serca do stu innych — zawołała. — Proszę, wyświadcz pan przysługę nam obojgu i powiedz mu w mem imieniu, że przyjaźń jego tem wyższą cenę miałaby dla mnie, gdyby mię jego miłość nie zrażała.

Sposobność zbliżenia się znów do Heleny nastręczyła mu się dopiero po kolacyi. Toast wzniesiony szampanem na cześć solenizantki, zakończył biesiadę i goście przeszli do salonu, gdzie kilka par stanęło do tańca. Helenę wzywano kilkakrotnie, zawsze jednak stanowczo odmawiała. Miłym jej był wprawdzie widok tańczących, sama przecież nie myślała brać w tańcu udziału, lubo Percy wszelkich dokładał starań, by ją w tem postanowieniu zachwiać.

— Obawiam się, Walku, że ją obraziłem prosząc zbyt natarczywie — mówił Percy — czuję teraz, że jej się staję uciążliwym.

— Bardzo to być może.

Percego uderzył ton, jakim te słowa były wypowiedziane, wziął to jednakże za objaw złego humoru łatwego tem do wytłumaczenia, że Walenty spóźnił się na pociąg, a w całem Richmond nie można było dostać dorożki.

— Tak bardzo naraz posmutniała — płakała nawet przed chwilą. Widziałem kilka razy, że ocierała chustką oczy, gdy sądziła, że tego nikt nie zauważy. Proszę cię, dowiedz się, co jej jest. Jeżeli ją niechcący obraziłem, może jej niemiło, że tak długo bawię tutaj, może coś takiego powiedziałem, może...

— Dość, dość, Percy, zrozumiałem dostatecznie twą instrukcyą; pozwólże mi pójść do niej. Gdzież ona jest?

— Wyszła przed chwilą na werandę z twoją matką.

— To dobrze, poczekaj więc.

Walenty udał się na werandę, gdzie znalazł Helenę i swą matkę, jak mu to Percy był powiedział. Mrs. Merrick tuliła w objęciu płaczącą Helenę, starając się ją uspokoić.

— Co się stało? — zapytał Walenty zaniepokojony. — Czy mrs. Barklay zasłabła?

— Co to znaczy, matko?

— Nic, Walku, nic — odpowiedziała mrs. Merrick. — Powróć do salonu, inaczej całe towarzystwo gotowe wyjść tu za nami. Nie powinnam była przypisywać Helenie tyle sił, ona jest zbyt słabą i towarzystwo tylu osób męczy ją.

— Nie, nie — rzekła Helena uwalniając się z jej macierzyńskiego objęcia — towarzystwo temu niewinne. Proszę, powróćmy do salonu.

— Mrs. Barklay — odezwał się Walenty — jeżeli przez mą nierozwagę i wrodzoną szorstkość powiedziałem coś takiego, co panią mogło urazić, a czuję, że tak jest, to błagam, racz mi pani darować.

— Nie, nie, paneś mię nie obraził, nie pan sam — odpowiedziała łagodnie. — Złożyło się na to wiele drobnych okoliczności i to mię właśnie gniewało, ponieważ widziałam, iż to zauważano.

Mrs. Merrick rozśmiała się dobrotliwie. — A więc to mój niegrzeczny syn wszystkiemu winien — zawołała. — No, to się teraz pogodźcie, wy dzieciaki, które nigdy nie możecie być razem, by się ze sobą nie pokłócić.

Odeszła, pozostawiając ich samych.

— Chodźmy, chodźmy — zawołała Helena wstrząsając się — takie zimno ciągnie od rzeki.

— To nie zimne powietrze takim mrozem panią przejmuje, lecz obecność mojej osoby — odpowiedział z boleścią. — To owe dawne uczucie przestrachu, o którem pani dzisiaj mówiłaś. Wszakże tak?

— Nie, nie, tak nie jest. Byłam doprawdy dziecinną. Proszę, wracajmy do salonu.

— Jeszcze tylko chwilkę, mrs. Barklay — rzekł. — Przyznałaś pani przez pół, że byłem dzisiaj względem niej niedorzecznym, lub, że miałem nieszczęście w czemś jej się narazić.

— Nie myśl pan o tem, proszę.

— O, przebacz mi pani! Bóg mi świadkiem, że przez całe me życie nie chciałbym pani najmniejszem słówkiem wyrządzić przykrości, ale żywy mój temperament popycha mię zawsze do tego, czego później gorzko żałować muszę. Oddałbym świat cały, gdybym krzyczącą niesprawiedliwość, jaką pani wyrządziłem, mógł niebywałą uczynić. Już to pani powiedziałem, gdyś leżała złożona śmiertelną chorobą — dodał — i miałem nadzieję, żem twe przebaczenie uzyskał.

Ukryła twarz w obie dłonie i płakała cichutko, chociaż starała się łzy swoje przed nim ukryć.

— Heleno! czyż nie jesteś w stanie przebaczyć mi? — zawołał z rozpaczą.

— Przebaczam panu, przebaczam — rzekła odejmując ręce od twarzy i podając mu. — Cóż mam panu przebaczyć? Wszakże pan tylko żartowałeś, nie chciałeś przecie wyrządzić mi przykrości.

— Naturalnie, że tylko żartowałem.

— I nigdy więcej nie będziesz mi pan mówił o Percym Andison?

— Od dnia dzisiejszego, ani wspomnę wobec pani jego imienia.

W tejże samej chwili dwoje białych dłoni uniosło portyerę, która zasłaniała szklane podwoje, jakoby ten, który ją uniósł chciał wyjść na werandę, lecz nagle ręce zniknęły i podniesiona portyera na dół opadła. Ani jedno ani drugie nie zauważyło tego.

— A więc jesteśmy przyjaciółmi? — rzekł Walenty.

— Tak, mam nadzieję — odpowiedziała. — Możemy zapewne wrócić do gości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Adresy Spółek

przyjmujących oszczędności, a należących do Związku Spółek Zarobkowych i gospodarczych.

Dla wygody czytelników naszych zwłaszcza tych, co w świat na pracę wyjeżdżają, podajemy adresy banków polskich, do których wychodźcy mogą przesyłać swe oszczędności.

Przesyłki pieniężne należy adresować po niemiecku.

I. W. Ks. Poznańskie.

Spółka w:

Barcinie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Bartschin.
Bninie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Bnin.
Borku: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Borek.
Brennie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Brenno.
Buku: Bank Ludowy w Buku E. G. m. u. H. Buk.
Bukowicach: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Bukwitz.
Bydgoszczy: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Bromberg.
Bydgoszczy: Bank Ludowy — Volksbank E. G. m. u. H. Bromberg.
Bydgoszczy: Bank Bydgoski E. G. m. u. H. Bromberg.
Chełmcach: Kasa Pożyczkowa E. G. m. u. H. Chełmce.
Chwałkowie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Chwałkowo.
Czarnkowie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Czarnikau.
Czempinie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Czempin.
Czerniejewie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Schwarzenau.
Dakowy Mokre: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Dakowy Mokre.
Dobrzycy: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Dobrzyca.
Dolsku: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Dolzig.
Droszewie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Drosenau.
Dubinie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Dubin.
Gąsawie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Gonsawa.
Gębicach: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Gembitz.
Gnieźnie: Kasa pożyczkowa E. G. m. u. H. Gnesen.
Gnieźnie: Kasa „Ul“ E. G. m. u. H. Gnesen.
Gniewkowie: Bank Ludowy E. G. m. u. H. Argenau.
Gołańczy: Bank Ludowy dla Gołańczy i okolicy E. G. m. u. H. Gollantsch.

W. KRUK

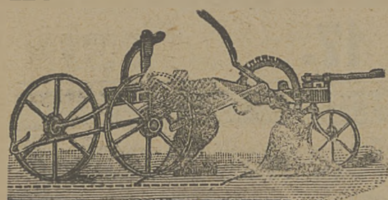
złotnik i jubiler

Poznań, ul. Wilhelmowska 22

poleca 99

Brylantowe brosze, butony, pierścionki, kolja, bransoletki, Srebrne zastawy, sztućce

oraz sprzęty kościelne po cenach przystępnych.



Ogólnie znane z swej dobroci **pługi** **dwu- i trzyskibowe** pat. Schütz-Bethke **najnowszej konstrukcyi.** Każdy z tych pługów do użycia jako dwu i trzyskibowy. Dotychczas sprzedałem ich przeszło 4000, co **najlepszem jest poleceniem.** 117

Patentowany pług **„FENIX“** piętrowy samochód, do głębokiej órki bardzo rozpowszechniony. Zaleca się **lekkim chodem i szybkiem a łatwym sposobem ustawiania głębokości órki.**

Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie

A. Bryliński.

Przy ulicy Rycerskiej Nr. 14.

Kantor i wystawa wszelkich machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu.
Wielkie składy machin i części zapasowych na placu kolejowym. Własna pracownia do napraw.
Adres do listów: **A. Bryliński, Poznań—Posen.**
Adres do telegramów: **A. Bryliński, Posen.**
Telefon nr. 69.

Nadzwyczajne obniżenie ceny!

Piękną reprodukcyę obrazu **H. Siemiradzkiego:**

Chopin u ks. Radziwiłła

zniżam dopóki zapas starczy z **20** na **10 mk.,**
:: :: z przesyłką i opakowaniem 11,00 mk. :: ::
Medal pamiątkowy z popiersiem Chopina **srebrny** z **12** na **8** mk.
Medal bronzowy wraz z étuit 3,50 za **2,50** mk.
Poznań, ul. Długa 8. 97
Karol Kozłowski, wydawca

Specyalna oferta !

Wszystkie towary polepszone po znanych tanich cenach.
Polecam specyalnie:
Kakao (g ar. czystość) funt 1 20, 1 6. 2.00, 2 40.
Proszek czekoladowy funt 60, 80, 1 00, 1.20.
Keksy maślanne funt 60, 1.00, 1 20, 1 60.
Pralinki nadziewane funt 80, 1.00, 1.20, 1 60.
Pralinki warszawskie funt 2.00, 2 40, 3.00, 4.00.
Cukierki deserowe funt 60, 1.00, 1.20, 1.60, 2 00.
Czekolada łamana (czysta) funt 90 fen. i 1 20
Czekolada śmietankowa funt 1.40 1.60, 2.40.
Karmelki owocowe funt 40, 60, 80.
Karmelki owocowe nadziewane funt 1.00, 1.20
Karmelki piersiowe funt 60, 80, 1.00.
Sok malin. czysty funt 50 f.
Kawa Wiatraka funt 1.00 1.10 1.30, 1.50, 1.70 1.90 i 2.10.

Stefan Prądzyński,

Poznań, Stary Rynek 59/60, wchód z ul. Wrocławskiej, Stary Rynek 91, wchód z ul. Wronieckiej i Chwaliszewo nr. 1 przy moście.

Pan **Józef Balcer** objął sprzedaż moich wyrobów na Księstwo Poznańskie i gwarantuje za sumienne i szybkie załatwienie wszelkich zamówień. Wysyłki na prowincyę uskuteczniamy z interesu głównego Stary Rynek 59/60. 356

! Od 6-ciu marek przesyłka franko !

Zakład dentystyczny

„Reform“

E. Karlewicz

Poznań, ul. Wrocławska 20
(przy placu Piotra.) 355
Wykonanie pierwszorzędne.
Ceny nader umiarkowane.
Operacye zębów bez bólu.
Honoraryum według umowy.



HEINEL & HEROLD,
401 fabryka harmonik
Klingenthal (Sachsen) nr. 181
odstaw. uzn. za najl. harmoniki.
10 kl. 2 chór. 50 głos. 4,50 m. i 5,—
10 „ 3 „ 70 „ 6,— „ 17,—
10 „ 4 „ 90 „ 7,25 „ 19,—
Szkoła i kista z drzewa darmo.
2, 3, 4, 6 i 8 chórowe i 1, 2, 3, 4 rzędowe **harmoniki** w 200 nr., dobre i tanie. Specyaln.: **Harmoniki na wzór wiedeński,** harm. ust., bandoniony, gitary, cytry gitarowe, skrzypce, cytry, okariny, pozytywy, flety.
Gwarancya: Odbiór i zwrot pieniędzy. Przeszło 8000 urzęd. potw. listów dziękczynnych.
Główny katalog każdemu darmo.

Preparaty Arystokratynowe

nadają twarzy świeżość, młodość i piękność.

Czerwone i popękane ręce

stają się po użyciu

Kremu Arystokratynowego

śnieżno białe i delikatne.

Krem Arystokratynowy nader przyjemny w użyciu, gdyż nietłuszczący. 454

Do nabycia wszędzie.

Chem. Laboratoryum

Z. Rittera Nast.

Poznań, św. Marcin 20.

Klinika chirurgiczna.

Zakład medyko-mechaniczny.

Gabinet Röntgena.

POZNAŃ, ulica Lipowa 2, I.

Tel. 1400. 40

Dr. K. Nowakowski

lekarz-specyalista w chirurgii i ortopedyi.

Białą jak kryształ

jest bielizna prana mydłem Regera.

Mydło Regera

jest najlepszym, nieszkodliwym środkiem do bielenia i szybkiego prania bielizny.

Paczka funtowa **mydła Regera 40 fenygów.**

62

Abonujcie i polecajcie „Pracę.“

DZIENNIK ZWIĄZKOWY „ZGODA“
ORGAN ZWIĄZKU NAR. POL. W STAN. ZJEDN. PÓŁN. AM.

Jedyne, polityczne, niezależne pismo polskie za Oceanem, kierujące opinią publiczną i wywierające olbrzymi wpływ na stosunki polsko-amerykańskie.

TRZY WYDANIA: **Codzienne wydanie.** Tygodniowe dla mężczyzn. Tygodniowe dla kobiet.

Dziennik Związkowy „ZGODA“, powinien się znajdować we wszystkich lokalach publicznych w kraju, jako najlepszy informator we wszelkich sprawach odnoszących się do Polaków za Oceanem.

8 stron, 28 kolumn oryginalnego tekstu codziennie.
Prenumerata wynosi rocznie dol. 4,80 ct. Półrocznie 2,40. Kwartalnie 1,20.
Na żądanie wysyłamy numery okazowe. Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy: Dziennik Związkowy „ZGODA“ 102—104 W. Division str. Chicago, Ill. s. U. S. N. Am.

CYRKULACYA 100,000 EGZEMPLARZY.

Najpopularniejsze Czasopismo w Stanach Zjednoczonych prawdziwie odzwierciadlające życia polskiego w Ameryce. Zasilane stale interesującemi korespondencyami z każdego zakątka emigracyi polskiej w Ameryce. Największy i najstaranniej redagowany dziennik polski na obczyźnie.

Zaproszenie do przedpłaty na bieżący kwartał.



Niniejszy numer jest pierwszym w bieżącym kwartale,

czas więc jeszcze odnowić przedpłatę na poczcie, która jest zobowiązana dostarczyć pierwsze numery.

Prosimy Szanownych Czytelników, aby nie tylko sami wcześnie odnowili przedpłatę na poczcie, ale aby byli łaskawi zachęcać do zapisywania „Pracy“ przyjaciół, sąsiadów i znajomych.

„Praca“ kosztuje na wszystkich pocztach 1,50 M. z odnoszeniem do domu 1,62 mk na kwartał.

W numerze 12-tym rozpoczęliśmy druk bardzo pięknej, nadzwyczaj zajmującej powieści p. t.

„Pałac i teatr“.

„Pałac i teatr“, będzie czytał każdy z nadzwyczajnem zainteresowaniem i oczekiwać będzie z wielką niecierpliwością od tygodnia do tygodnia dalszego ciągu tej rzeczywiście bardzo sensacyjnej i bardzo zajmującej powieści.

Kwit pocztowy na nowy kwartał zamieszczony jest poniżej.

Nowi abonenci otrzymają początek powieści p. t. „PAŁAC i TEATR“ bezpłatnie za nadesłaniem znaczka pięciofenygowego na porto.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie bezpłatnie i franko.

„Praca“ jest najtańszem, najpoczytniejszem i najobfitszem w treść pismem illustrowanem polskiem z wszystkich tygodników illustrowanych, wychodzących pod trzema zaborami.

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den .... 1910.

Kaiserl. Post..............................